ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 8(45) • Sierpień 2009 • Cena 2,00 zł

ISSN 1897-4023

Wojna na drodze

W ubiegłym roku złotoryjski powiat jako jedyny w Polsce nie odnotował żadnego śmiertelnego wypadku na swoich drogach. Policjanci nie omieszkali się tym pochwalić wszem i wobec i przez chwilę nawet pomyślałem, że doprawdy sukces naszej powiatowej policji jest niebywały. Po chwili jednak, jak to zwykle bywa, przyszła refleksja: a prawo wielkich liczb? A statystyka? W przyrodzie niestety nic nie ginie i jeżeli w zeszłym roku w wypadkach drogowych zginęło 5437 osób, to znaczy, że śmierć wybrała jednego na 7000 mieszkańców naszego kraju. Szczęśliwym dla nas zrządzeniem losu, to inne powiaty tym razem zapracowały na statystykę, ale niestety prędzej czy później rachunek prawdopodobieństwa upomni się o swoje prawa, wskazując na sześć, może siedem osób mieszkających obok nas, a może nawet postanowi wyrównać stratę z ubiegłego roku? Niestety wszystko przemawia za tym, że tak się stanie. Już teraz liczba wypadków jest prawie taka sama jak za cały ubiegły rok – są też ofiary śmiertelne.

Dlaczego o tym piszę? Na Złotoryja.info od początku roku już kilkakrotnie pojawiały się informacje o tragicznych wypadkach na złotoryjskich drogach, za każdym razem towarzyszyły im komentarze – mniej lub bardzie wyważone. Niestety, te mniej wyważone, powiedziałbym nawet – aroganckie, pojawiają się częściej. Za arogancję zaś poczytuje zbytnią pewność siebie w kreowaniu wszelakich sądów, obchodzenie się z cudzym nieszczęściem jak z migawką z filmu dokumentalnego. Łatwo jest coś napisać, zwłaszcza anonimowo i nie patrzeć na to, że czyjeś uczucia zostaną podeptane. Tym bardziej, że większość z komentujących za tydzień - dwa zapomni już o tym, ale pamiętać będą ci, których to najbardziej dotknęło. Te wszelkie dywagacje o winie, głupocie… Kreowanie sądów na podstawie paru linijek tekstu…

Drogi komentatorze! Zanim znowu napiszesz coś o czyimś nieszczęściu na drodze, a na pewno napiszesz, bo okazji będziesz mieć jeszcze kilka w tym roku, zastanów się przez chwilę, czy to nie Ty wkrótce będziesz jednym z tych siedmiu, którzy zginą, lub jednym z siedemdziesięciu, którzy poniosą uszczerbek na zdrowiu, mieszkańców naszego powiatu. Przypomnij sobie, ile razy otarłeś się o swoje własne nieszczęście, przepłacając to tylko żywszym biciem serca. Zastanów się, jak się ma poczucie subiektywnej oceny winy do bezwzględnej statystyki i czy w ostatecznym rozrachunku to takie istotne, kto popełnił błąd. I jeszcze jedna statystyka: prawdopodobieństwo, że zginiemy w wypadku drogowym jest jak 1 do 200 – bezpieczniej jest wyjechać do Iraku lub Afganistanu.

Wszystkim polecam lekturę dokumentu „Wypadki drogowe w Polsce w 2008 r." sporządzonego przez Policję i umieszczonego na stronach policja.pl.

Robert Pawłowski

Iwona Pawłowska: Kim jest Komuna?

Przemysław Markiewicz: To mój nick na forum portalu zlotoryja.info. związany z zainteresowaniami, jakie przejawiam - ogólnie mówiąc: komuną. Pasjonuje mnie wszystko, co wiąże się z tamtym ustrojem.

I.P: Pamięta Pan tamten czas?

P.M: Nie, nie ma takiej możliwości. Mam 23 lata. Wszystko, co wiem o komunie, płynie z opowiadań lub lektury. Od dawna interesowałem się wojskiem, szczególnie z okresu II wojny światowej, ale na dobre moja przygoda z PRL-em zaczęła się od wizyty w muzeum p. Sabadacha w Uniejowicach. Zobaczyłem jego kolekcję i uznałem, że to fajna sprawa zbierać wszystko, co wiąże się z wojskiem i milicją. Potem poznałem ludzi, to znaczy tych, którzy służyli w LWP, funkcjonariuszy milicji, ZOMO. Zobaczyłem ich od innej strony. Większość z nich to normalni ludzie, pracownicy wykonujący przydzielone im zadania. Choć wiadomo, zdarzali się różni.

Sam nie jestem fanatykiem minionego ustroju, tylko po prostu człowiekiem, który chce wiedzieć więcej o tych czasach. Nie jestem komunistą.

I.P: Rodzice dużo musieli Panu opowiadać o PRL-u.

P.M: Nie, rodzice nie mają czego wspominać. Dla nich PRL to był zwykły czas. Nie należeli ani do partii, ani do opozycji, nie mają kombatanckiej przeszłości. Byli zwykłymi zjadaczami chleba. Ale do moich zainteresować odnoszą się z cierpliwością i wyrozumiałością. Jest to o tyle ważne, że zbiory, jakie posiadam, zajmują dużo miejsca w naszym domu. Tato nawet od czasu do czasu znajdzie jakiś ciekawy eksponat do mojej kolekcji.

I.P: Co ciekawego do tej pory udało się Panu znaleźć?

P.M: Mundury milicyjne, policyjne, wojskowe, nawet radzieckie, wyposażenie…Nawiązuję kontakty z innymi kolekcjonerami, co ułatwia zdobywanie eksponatów. Jestem członkiem Klubu Kolekcjonerów Policyjnych działającego przy Międzynarodowym Stowarzyszeniu Policji. Uczestniczyłem w III Seminarium Klubu Kolekcjonerów Policyjnych, które odbyło się w Wydziale Doskonalenia Zawodowego Komendy Stołecznej Policji w Tomicach pod Warszawą. Okazało się, że należą tam przede wszystkim policjanci, żołnierze, straż graniczna i …ja.

Nie jestem komunistą

I.P: Zawodowo nie ma Pan nic wspólnego ze służbami mundurowymi?

P. M: Nie, jestem rezerwistą. Mam za sobą krótką przygodę z Trawersem. Latałem samolotami, miałem szkolenie spadochronowe. I tyle. W zasadzie to jeszcze strzelanie łączy mnie z wojskiem czy policją. Czasem chodzę na strzelnicę. Należę do LOK-u. Nawet ostatnio zostałem uhonorowany brązowym medalem „Za zasługi dla obronności kraju".

I.P: Ile eksponatów zgromadził Pan w swoich zbiorach?

P. M: Trudno policzyć, tak dużo tego jest. Ale ostatnio miałem przestój kolekcjonerski z powodów finansowych. Nigdy też nie interesowała mnie wartość komercyjna moich zbiorów. Kiedy kupuję coś do mojej kolekcji, płacę rozsądną cenę, nie szaleję.

I. P: W zbiorach ma Pan nie tylko pamiątki związane z wojskowością czy milicją, ale również wiele przedmiotów z przeszłości naszego miasta.

P. M: Tak, specjalizuję się w zbieraniu przedmiotów sprzed wojny, a pochodzących ze Złotoryi. Czasami są to przedmioty codziennego użytku, np. wieszaki na ubrania z napisem Goldberg. Mam też stuletnią skrzynkę z browaru Neumanna wypełnioną butelkami z tegoż browaru. Ogólnie interesuje mnie browarnictwo. Mam też dużą tablicę emaliowaną z 1868 roku też od Neumanna. Mogę się pochwalić dziesięcioma rodzajami korków porcelanowych od butelek po piwie, podkładkami pod piwo, etykietami z butelek i oryginalnym kuflem Oswalda Neumanna. Posiadam również kopie rycin przedstawiających złotoryjskie browary. Na oryginały mnie niestety nie stać. Ostatnio jedna z oryginalnych widokówek browaru złotoryjskiego została sprzedana na allegro za ok. 400 złotych. Kupił ją pan, który kolekcjonuje wszystko, co wiąże się z przedwojennym browarnictwem, nie z konkretną miejscowością.

I. P: Zbiera Pan też przedwojenne złotoryjskie widokówki?

P. M: Nie, tu jest duża konkurencja, szczególnie ze strony Klubu Kolekcjonerów działającym przy TMZZ, do którego również należę. Za to znalazłem niszę, którą są pocztówki powojenne, te z PRL-u i całkiem nowe.

IP: Myślał Pan o udostępnieniu swoich zbiorów złotoryjanom?

P. M: W zasadzie jeszcze nie miałem okazji wystawić nigdzie eksponatów. Kiedyś tylko mundury milicyjne z czasu PRL-u pojechały ze mną do Warszawy na obchody kolejnej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Brałem udział w rekonstrukcji zdarzeń. To był chyba 2005 rok. Okazało się, że jestem jednym z lepiej wyposażonych „milicjantów", bo miałem swój sprzęt, w całości oryginalny. Żadne podróbki, mistyfikacje… . Nie wszyscy zresztą się znają na umundurowaniu, nawet ci, którzy przyjeżdżają na rekonstrukcje. A ja, kiedy oglądam film fabularny, w którym pokazywane są oddziały ZOMO, jestem w stanie ocenić, jak bardzo rekwizytor przygotował się do swojej pracy. Znam niuanse i patrzę na to wszystko jak kolekcjoner. Wiem, do którego roku obowiązywał dany model uzbrojenia czy munduru. Kiedy akcja filmu rozgrywa się w 1981 roku, a hełm zomowca pochodzi z 1985 roku, to trochę śmieszy kolekcjonera.

I. P: Ostatnio w Złotoryi również próbował Pan wprowadzić zwyczaj rekonstrukcji historycznej podczas obchodów 13 grudnia.

P. M: Tak, ale to było mało profesjonalne, brakowało mundurów, pojazdów i broni, jednym słowem sprzętu. Wyglądało to prawie tak, jak na początku w Warszawie . Z pomocą przyszedł Jan Kusek, za co mu serdecznie dziękuję.

I.P: Warto obchodzić tak hucznie rocznicę wprowadzenia stanu wojennego? To chyba haniebne wydarzenie w historii Polski?

P.M: Trzeba pokazać młodym ludziom, jak to wyglądało. Nie wszyscy wiedzą, nie każdego to interesuje. A rekonstrukcje historyczne przybliżają problem.

I.P: Jest Pan prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Złotoryi Aureus Mons. Kiedy w 2006 roku powstało Aureus, niektórzy twierdzili, że wyrasta konkurencja dla Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Jesteście tak nastawieni do TMZZ?

P.M: Nie, nie mamy zamiaru walczyć z TMZZ. Niektórzy nas, niestety, tak odbierają. Stało się to za sprawą artykułu w prasie regionalnej, który przedstawił nas jako frakcję zbuntowanej przeciw TMZZ młodzieży. Wywiad, jaki został przeprowadzony z ówczesnym prezesem, nie był autoryzowany i wkradły się do niego pewne przekłamania. Potem zresztą ukazało sie sprostowanie, ale to przeszło bez echa. Sam się wtedy głupio czułem, bo wyglądało to niefajnie w stosunku do ludzi z TMZZ, których przecież dobrze znałem. Osobiście przepraszaliśmy p. Romka Gorzkowskiego…Teraz już chyba wszystko zostało wyjaśnione. Nie odczuwam jakiejś niechęci ze strony TMZZ. Przecież nawet kilkoro z Aureus to członkowie Towarzystwa. Wspieramy się w działaniach. Co więcej, częściej jesteśmy zaangażowani w inicjatywy TMZZ niż inni jego członkowie . Byliśmy na Rajdzie Jadwiżańskim, chodzimy na walne zebrania i inne imprezy organizowane przez towarzystwo. My się nie zamykamy, nie obrażamy…

I.P: Jaka była zatem faktyczna przyczyna założenia Aureus Mons?

P.M: W mieście jest tak dużo pracy, co zresztą powtarzali również członkowie TMZZ, że każda osoba i każde stowarzyszenie znajdzie coś dla siebie. Mamy przecież kilka organizacji i każda szczyci się swoją specjalnością: PBKZ – płuczkami złota, ZTTG – Dymarkami, TMZZ – publikacjami…

I.P: A wy?

P.M: Próbujemy wykorzystywać Internet w celu popularyzowania wiedzy o naszym mieście szczególnie wśród młodych ludzi. Posiadamy

własną stronę internetową (www.aureusmons.pl), na której staramy się stworzyć multimedialne archiwum naszego regionu. Naszą specjalnością jest miedzy innymi konkurs internetowy wiedzy o Złotoryi. Pytania układa zarząd Aureus Mons. Staramy się zadawać takie pytania, na które odpowiedzi trzeba dobrze poszukać. Choć jeśli ktoś regularnie czyta opracowania historyczne TMZZ i materiały znajdujące się na portalu Aureus Mons czy na innych stronach tematycznych, jest w stanie osiągnąć stuprocentowy wynik.

Wśród innych naszych inicjatyw wymienić mogę Rajd na Rokitnicę, udział w Sprzątaniu Świata. Współorganizowaliśmy konkurs historyczny „Dzieje Złotoryi" w ZSZ. Oprócz tego organizujemy wycieczki i spotkania, których uczestnikami są przede wszystkim członkowie Aureus Mons, a jest ich stosunkowo niewielu, bo około 30.

I.P: To są młodzi ludzie?

P.M: Zdecydowana większość. Ale mamy też czterdziestolatków, sześćdziesięciolatka. Otwieramy się przede wszystkim na uczniów, studentów. Wśród członków stowarzyszenia są tacy, którzy działają prężnie i ci, którzy tylko należą. Jak wszędzie…

I.P: Jesteście postrzegani jako grupa lewicująca. Macie wiele wspólnego z opcją złotoryjskiego starosty.

P.M: Starostwo nas wspiera, szczególnie podczas organizacji internetowego konkursu.. Na początku, kiedy powstawaliśmy, w naszym Zarządzie było trzech członków związanych z młodzieżówką SLD oraz przewodniczący młodzieżówki PO. W tej chwili w Zarządzie jest jeden członek FMS oraz dwóch działaczy SMD – co mogłoby oznaczać sympatyzowanie z PO. Jednak stowarzyszenie Aureus Mons jest apolityczne

I. P: Wróćmy do inicjatyw Aureus Mons. Wiem, że stworzyliście frakcję rekonstrukcji historycznych. Na czym polega jej działalność?

P. M: Uczestniczymy na zasadzie obserwatorów, widzów w rekonstrukcjach historycznych, które odbywają się na terenie Dolnego Śląska. Piotrek Iwanowski, który szefuje tej frakcji, interesuje się szczególnie epoką napoleońską. Kilkakrotnie on i jego koledzy brali udział w oblężeniu twierdzy kłodzkiej, w bitwie nad Kaczawą oraz w Świdnicy.

I. P: Macie mundury napoleońskie, broń z epoki?

P. M: Nie i raczej nie zanosi się na to. To trochę kosztuje. Nawet były wójt Krotoszyc zapraszał nas do siebie, abyśmy obsługiwali armatę, bo był wakat, ale warunkiem jest zakup mundurów. Wydać 3 tysiące na taką przyjemność, to dla wielu z nas za dużo. Osobiście wolę takie pieniądze zainwestować w swoją kolekcję. Jednak nie zarzekam się. Jeśli znajdzie się kilkunastu pasjonatów zdolnych zapłacić tyle za mundury napoleońskie, to stworzymy własną grupę rekonstrukcyjną i będziemy działać na naszym terenie. Nie ukrywam, przydałoby się to bardzo przed 800-leciem nadania praw miejskich Złotoryi.

I. P: A co Aureus Mons planuje w związku z rocznicą, która przypada już za półtora roku?

P. M: Wspólnie z TMZZ myślimy właśnie o odtworzeniu bitwy napoleońskiej, jaka rozegrała się przed dwustu laty pod Wilczą Górą. Część działań bierzemy na siebie. Po głowie chodzi nam też pomysł, by postawić w tamtym miejscu replikę obelisku upamiętniającego bitwę, który stał jeszcze przed wojną. Chcielibyśmy też stworzyć makietę jednej bramy wjazdowej do miasta. Rozmawialiśmy z TMZZ o wydaniu okolicznościowej dwuzłotówki. Wiem, że już jakieś starania są w toku. Planujemy też korowód z prawdziwego zdarzenia. Dobrze byłoby zorganizować w rynku całonocny jarmark przy świecących pochodniach i naszych pięknych latarniach. Proszę sobie wyobrazić ten klimat…jarmark staroci, swojskie jadło, wyroby lokalnych rzemieślników.

Może przed rocznicą uda się zrealizować nasz główny, tym razem w pełni samodzielny pomysł – udostępnienie od zwiedzania podziemi złotoryjskich.

I. P: Złotoryjskie podziemia to jak taka bajka o żelaznym wilku – wszyscy słyszeli, a nikt nie widział.

P. M: Podziemia istnieją i mogę o tym zapewnić. Widziałem je na własne oczy. Są w bardzo dobrym stanie. Część z nich remontowano jeszcze przed wojną, bo miały służyć za schrony przeciwlotnicze. Rozciągają się pod całym miastem. Prawdopodobnie wcześniej były to tunele górnicze, później kanały burzowe. W kilku miejscach są szczątki instalacji elektrycznej, gdzieniegdzie pozostałości drewnianej podłogi. Nasze podziemia

są nawet wielopoziomowe To jest naprawdę ciekawe zjawisko, nic dziwnego, że stało się moim konikiem. Teraz załatwiam dokumenty, pozyskuję je z różnych źródeł, miedzy innymi z Archiwum Państwowego w Legnicy i może doprowadzę sprawę do końca. Muszą być pieniądze, zgoda konserwatora i wiele jeszcze dopełnionych formalności.

I. P: Gdzie jest wejście do podziemi?

P. M: Nie mogę ujawnić. Za dużo osób teraz chciałoby tam wejść na własną rękę. To mogłoby być niebezpieczne. Niech za przestrogę posłuży fakt, że w latach siedemdziesiątych zagubiła się tam grupa młodzieży i musiało szukać ich wojsko.

Jednak ludzie zainteresowani podziemiami naszego miasta znają tajemnicę wejścia do tuneli . Kiedyś co druga kamienica na Basztowej miała swoje wejście.

I.P: Skoro rozmawiamy o podziemiach, to nasunęło mi się skojarzenie, że Aureus Mons to też takie podziemie w nowym wydaniu. Członkowie stowarzyszenia spotykają się na zebraniach w prywatnych mieszkaniach.

P. M: Tak, nie mamy własnego lokalu. Zazdroszczę TMZZ, że ma takie ładne miejsce na swoją działalność. My spotykamy się w pokoju koleżanki. Tam jest nasze „biuro" . Trochę to uciążliwe dla niej i dla nas. Niedawno złożyłem podanie u burmistrza o przydział lokalu, ale odpowiedź była odmowna. Nie ma wolnych miejsc. Może następnym razem się uda i będziemy wreszcie wyglądać poważnie.

I. P: Macie ambicje polityczne?

P.M: Niedawno przeczytałem na forum zlotoryja.info: *komuna na burmistrza*. Chciało mi się śmiać, bo ja w takie sprawy się nie mieszam. Nie mam ochoty na razie startować w żadnych wyborach. Ale są wśród nas działacze polityczni, którzy przymierzają się do pewnych stanowisk, oczywiście życzę im powodzenia.

I. P: Młodzi mają jakieś szanse odnieść sukces w lokalnej polityce?

P. M: Rzeczywistość pokazuje, że mają. Ostatnio do Rady Miejskiej dostał się Iwo Matecki. Kiedyś takim młodym politykiem był Adam Zdaniuk, najmłodszy radny w naszym mieście. Jednak ogólnie młodzież nie zajmuje sie polityką. Ilu głosujących w wyborach to młodzi ludzie? Niewielki procent. A zwykle jest tak, że dana grupa wiekowa głosuje na swoich. Tu jest odpowiedź na pytanie.

I.P: Dziękuję za rozmowę i życzę, abyśmy następnym razem mogli sie spotkać nie w siedzibie TMZZ, ale w nowym biurze Aureus Mons.

rozmawiała Iwona Pawłowska
zdjęcia z archiwum
Przemysława Markiewicza

ECHO ZŁOTORYI **Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Elżbieta Łukjańczuk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Renata Fuchs (korekta).

Zdjęcie na okładce: Burza nad Łaźnikami - fot. Andrzej Cukrowski (ZKF).

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania oraz przeredagowywania nadesłanych tekstów.

Miesięcznik tworzony jest nakładem pracy społecznej, w związku z tym za publikacje nie jest wypłacane wynagrodzenie w jakiejkolwiek formie.

Warunki prenumeraty. Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym momencie, nadsyłając zamówienie na adres poczty internetowej redakcji oraz przesyłając na konto TMZZ (39 8658 0009 0000 0156 2000 0010) kwotę pieniędzy w wysokości odpowiadającej liczbie oraz sposobowi dostarczenia zamówionych egzemplarzy: I - prenumerata miejscowa (odbiór w siedzibie TMZZ) w cenie numeru , II - prenumerata wysyłkowa na terenie Polski - 4,50 zł, III - prenumerata wysyłkowa zagraniczna - 10 zł.

ISSN 1897-4023

Pan Henryk wyruszył w kolejną podróż

scan. Taki anagram otwiera jeden z albumów Henryka Stachowskiego. Niejedna instytucja lub klub sportowy (nawet z pracownikami etatowymi) mógłby pozazdrościć, a raczej pójść (trafniej pojechać) za przykładem Henryka Stachowskiego, co do sposobu dokumentowania swojej działalności: miejscowość, data, potwierdzenie pobytu, ilość km, zdjęcie z opisem. Znajdziemy tu mapki z różnych okresów historii Polski, a nawet myśli zaczerpnięte od Jana Calvina oraz Tomasza Morusa.

Rozpoczął w wieku 49 lat. A zaczęło się 15 III 1973 r. od przejechania pętli o długości 19 km, „po czym z trudem wszedł do mieszkania na II piętrze". Wtedy rzucił palenie i po kilku tygodniach na to samo piętro wchodził już bez problemu. Dlatego pętlę wydłużył do 36 km . I od tego czasu wciąż łapczywiej połykał kilometry: 1973 - 804 km w ciągu 5 dni, 1974 – 1100 km/ 5 dni, przy czym jeden z etapów wyniósł aż 270 km (nawet w Tour de France nie ma tak gigantycznego etapu!). To osiągnięcie poprawił 12 czerwca 1982 r. na trasie z Rudek k/Kielc do rodzinnego Grodziska Wielkopolskiego – 283 km w ciągu jednego dnia. Rekordowy był rok 1975 – 4340 km . Nie był zawodowcem – był kolarzem amatorem, fanatykiem spędzania wolnego czasu na swoim dwukołowym rumaku. Dosiadł go na dobre w roku 1973, a zszedł z niego niedługo przed śmiercią.

Dojechał nim wszędzie w Polsce. Uczestniczył w niezliczonej ilości rajdów i zlotów, indywidualnie lub grupowo. Poznał każdy zakątek Ziemi Złotoryjskiej – i od niej zaczął, nim wyruszył na dłuższe trasy. Żałował, że „tak późno pokochał rower". Lecz i tak w roku 1984 zaliczył już 57 tys. km . Za granicę do tamtego czasu jeszcze nie pedałował, „lecz w kołach miał już niemal całą Polskę". Ta imponująca trasa nie może dziwić, skoro, np. jadąc samotnie do Nowogrodu, zaliczył 700 km .

Nie licząc ostatnich dni, można powiedzieć, że Pan Henryk utrzymywał się w dobrej formie i kondycji. Receptę na taki stan podał reporterowi „Gazety Współczesnej" (6 VIII 1984 – ćwierć wieku temu): nie palić papierosów (rzucił ten nałóg, mając 20 lat), nigdy nie pić za swoje pieniądze i dosiadać roweru jak najczęściej. Pod hasłem: „Papieros albo zdrowie – wybieraj sam", w sierpniu 1980 r. odbył rajd, oczywiście rowerowy, w czasie którego propagował niepalenie.

W wypowiedzi dla „Słowa Studenckiego" (1 IX 1983) Pan Henryk oświadcza: „Ja też, mimo że jestem emerytem, byłbym w stanie przejechać dookoła Europy w 100 dni. Mając mecenasów lub patronów, nie sztuka robić różnego rodzaju wyczyny rowerem lub pieszo. Informuję, że dnia 15 lipca 1983 jadąc na XXXII Centralny Zlot Turystów Kolarskich do Zamościa, przekroczyłem na etapie Strzelin – Strzelce Opolskie 40.053 km, czyli obwód kuli ziemskiej. Objechałem ją od 1973 r. do 1983 r., po ojczystych drogach, bez mecenasów, za swoje pieniądze i na własnym rowerze".

Miał zamiar odbyć olimpijski rajd rowerowy na olimpiadę do Moskwy (sierpień 1980), ale nie udało się go zrealizować. Aby jednak olimpijski akcent zaznaczyć, zaliczył z kolegą rajd do Moskwy… pod Skierniewicami.

W październiku 1982 r. jego rajdowy licznik wskazał 28 tys. km . Etapy tych rajdowych wycieczek wynosiły od 100 do 200 km . Na trasie zawsze starał się propagować niepalenie i abstynencję. Uczestniczył również bardzo często w wycieczkach pieszych.

Marzyło Mu się przejechanie trasy Wyścigu Pokoju w tym samym okresie co zawodnicy. Wyjeżdżałby przed kolarzami i jadąc w tempie ok. 25 km/godz., zamierzał dojeżdżać do mety przed czołówką wyścigu. Pytał jednak (1983): „Kto by mi w tym pomógł?". Dzięki pomocy Ryszarda Szurkowskiego udało Mu się ten zamiar urzeczywistnić. Uczestniczył tez w Kolarskim Maratonie Pokoju dla uczczenia 40. rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej (9/10 V 1985 r.). Był to całodobowy rajd nocny, w trakcie którego uczestnicy przejechali 418 km .

Kiedy w Złotoryi powstała sekcja turystyki kolarskiej dla osób w wieku od 45 do 66 lat, przewodniczącym został oczywiście Henryk Stachowski.

Ostatnie wielkiej rangi osiągnięcie to III m. w kategorii III b, w klasyfikacji górskiej zawodów z cyklu „Masters" w roku 1996 – wyróżnienie podpisał osobiście ówczesny szef P.Z. Kol. W. Walkiewicz.

Pierwszy dokument zaświadczający o działalności sportowej Pana Henryka wydano tuż po wojnie, jest to legitymacja KS „Dyskobolia" w Grodzisku Wielkopolskim. Kontynuował tę działalność już na Ziemi Złotoryjskiej w złotoryjskich klubach piłkarskich, natomiast w roku 1958 zdobył uprawnienia instruktora piłki nożnej. Imponujący jest, udokumentowany „Duży Rajd Dookoła Polski" – dobrze byłoby, gdyby zechcieli się z nim zapoznać organizatorzy turystyki, wycieczek (szkolnych, zakładowych). Czegoż tu nie ma? Pamiątki, kilometry, miejscowości, nawet przemyślenia społeczno – polityczne i przepisy kulinarne. 7 maja 1999 zanotował z goryczą : „ Obecnie to już nie moja Ojczyzna. To kraj bogaczy. Ja nie narzekam, ale nie wiem, czemu moje wnuki nie mają pracy – przecież nie są leniami. Staram się i robię wszystko".

Czy tylko pedałował i wyciskał z siebie siódme poty? Nie. „Z wysokości siodełka widzi się wszystko. Zwracam uwagę na piękno ojczyzny. Zatrzymuję się w miastach, zwiedzam zabytki, np. Biskupin, Westerplatte, Malbork, Toruń, Supraśl, jaskinia Raj, dąb Bartek, zamek Krzyżtopor… Zwiedził wszystkie województwa – wówczas było ich 49. Bywało, że na widok takich zapaleńców ludzie stukali się w czoło. I co wtedy taki energiczny i zapalczywy mężczyzna jak Pan Henryk robił? „Nic. My dalej jedziemy swoją drogą, a inni niech myślą, co chcą".

Hołdował dewizie Wincentego Pola: Cudze chwalicie, swego nie znacie – sami nie wiecie, co posiadacie. Apelował więc: „ Nie patrzmy na dotacje, spróbujmy o własnych siłach i za własne pieniądze. Nie pić alkoholu i nie palić papierosów.

Poznajmy najpierw swój kraj, a inne możemy sobie podarować". Taka postawa nie pasuje jakby do dzisiejszych wczasowiczów i „turystów", ażeby wyjechać jak najdalej, najlepiej samolotem, wysłać zazdrosnym sąsiadom widokówkę z Majorki, opowiadać, jakie serwowano dania pod Kilimandżaro. To nic, że taki „turysta" nie pokazał swoim dzieciom Wilczej Góry, Górki Mieszczańskiej… Nie pokazał, bo sam nie wie, co to jest.

Jeśli ktoś uważa, że poznał więcej polskich miejscowości, niż Pan Henryk, to niech przejrzy chociaż jeden z jego albumów. Gdyby ktoś uznał siebie za bardzo aktywnego lub przepracowanego kontaktami z prasą, to podaję, że Pan Henryk, szeregowy pracownik ZZO, kolarz pasjonat i amator, udzielał wywiadów lub pisał do następujących czasopism: Słowo Polskie, Zdrowie i Trzeźwość, Panorama, Gazeta Złotoryjska, Konkrety, Nasze Życie, Słowo Studenckie, Gazeta Współczesna.

Ale Pan Henryk to nie tylko sportowiec, to także ceniony pracownik ZZO Złotoryja – w maju 1980 r. został odznaczony Srebrną Odznaką Zasłużonego Pracownika. To przede wszystkim dobry mąż, troskliwy ojciec i dziadek, którego w gronie rodzinnym będzie dotkliwie brakowało.

Na trasie miał zawsze wielu przyjaciół w każdym zakątku Polski. W ostatnią drogę na złotoryjski cmentarz komunalny udał się jednak jak dla Niego nietypowo, lecz również nie samotnie – towarzyszyła mu pogrążona w wielkim smutku rodzina i liczne grono przyjaciół ze Złotoryi. Teraz, samotnie wyruszył na trasę najdłuższego rajdu, na trasę „Maratonu Spokoju". „Odjechał" tylko fizycznie. W naszej pamięci pozostanie nadal. Cześć Jego Pamięci!

Alfred Michler

Pielgrzymianki

Nie każda wieś ma taki fart jak Pielgrzymka. Bo nie każda może się pochwalić takim zespołem, jak Pielgrzymianki. Postanowiłam spotkać się z nim i porozmawiać o ich działalności. Na spotkanie jesteśmy umówione w budynku gminy. Jest ciepły wieczór i podjeżdżając widzę zaciekawione twarze w oknie. Witają mnie uśmiechnięte i rozgadane. Krysia Paluch, szefowa, przedstawia mi pozostałe osoby i dyktuje skład zespołu: **Beata Chrabąszcz, Ewa Gawryluk, Zofia Nazaruk, Bronisława Twardochleb, Dorota Gomółka, Anna Szylar, Bogusława Suchostawska, Hanna Świst** i jedyny mężczyzna- **Józef Lachowski**. Instruktorem muzycznym jest **Jarosław Pisarski**.

- Istniejemy od 1981 roku - opowiada pani Krysia, - czyli w tym roku mija 28 lat . Zaczęło się tradycyjnie. Przy kole gospodyń wiejskich zebrała się grupa około dwudziestu kobiet. Miałyśmy wtedy akompaniament w postaci dwóch grajków. Bez wątpienia była to inicjatywa pani Krystyny Chrabąszcz. Troje z nas to weterani pracy w folklorze, bo pracują z zespołem od samego początku. Są to panie: Hanna Świst, Bronisława Twardochleb i pan Józef Lachowski. Tak więc rozpiętość wieku w zespole jest bardzo duża, ale niestety młodzież nie garnie się do ludowych zespołów folklorystycznych. Dwukrotnie wystąpił z nami mały Wojtek Pisarski, syn naszego instruktora i był prawdziwą atrakcją spektaklu. Mamy nadzieję, że jeszcze z nami zaśpiewa. Wszystkie panie mile wspominają jego udział i pokazują mi zdjęcia z małym chłopcem w pierwszym rzędzie. Wyciągają albumy z fotografiami zespołu. Są na nich w bardzo ładnych, oryginalnych strojach rzeszowskich.

- Skąd miałyście na to pieniądze - pytam moje rozmówczynie.

- Na przeglądzie zespołów ludowych w Legnicy w 1997 roku wyśpiewałyśmy główną nagrodę i za to kupiłyśmy stroje - opowiada z dumą pani Krystyna.

- Cały nasz zespół jest ze sobą mocno skoligacony. Poza tym przyjaźnimy się prywatnie, w związku z czym czujemy się jak jedna, wielka rodzina. Dlatego chętnie się spotykamy, a okazji do organizowania imprez nie brakuje. Dzięki naszej działalności poznajemy mnóstwo ciekawych i znanych ludzi. Tak na przykład w Cieplicach wystąpiłyśmy na jednej scenie z Golcami.

- Był to koncert z okazji Dnia Matki - wspomina pani Beata. - Przy innej okazji poznałyśmy profesora Miodka. Wystąpiłyśmy też w edycji programu *Podróże kulinarne Roberta Makłowicza*. Jesteśmy wszechstronne i dlatego lubimy się spełniać w różnych dziedzinach. Śpiewamy, przedstawiamy scenki rodzajowe, jak wesele, darcie pierza, pieczenie chleba.

Opisać darcie pierza

-Ponadto gotujemy, robimy nalewki, dekorujemy sale, pleciemy wieńce dożynkowe – kontynuuje moja rozmówczyni. W zeszłym roku zorganizowałyśmy Dzień Matki dla 220 mam!

Jestem pełna podziwu dla entuzjazmu i wyobraźni Pielgrzymianek. Siedzimy przy herbatce i wielkim stosie kolorowych kanapek. Pani Bronisława upiekła pyszny placek drożdżowy z jabłkami. Ożywioną rozmowę przerywa nam od czasu do czasu przyśpiewka opoczyńska. To pan Józef wielki miłośnik folkloru wyśpiewuje nam swój repertuar. Zapisuję więc tekst jednej z nich:

Ludzie mówią, żeń się żeń,
Nie odkładaj z dnia na dzień .
Żonka zmieni życie w raj,
To ci żonka, ajajaj.
Ja chcę tańczyć, ona grać,
Ja chcę śpiewać, ona spać,
Ja chcę kawy, ona czaj,
To ci żonka ajajaj.
Ja chcę kwasu, ona miód,
Ja gorący, ona lód,
Lecz nie oddam żonki wam,
Bo nie chcę być dłużej sam.

- W pewnym okresie istniała przy naszym zespole kapela ludowa, którą założyłem - włącza się do rozmowy nasz śpiewak. - Składała się z trzech instrumentalistów, Władysław Boka – akordeon, Ryszard Oleksiuk – skrzypce, Władysław Bąk - perkusja. Śpiew to oczywiście moja działka. Śpiewaliśmy wspomniane wcześniej utwory ludowe z okolic Opoczna. Naszym największym osiągnięciem - wspomina z nostalgią szef kapeli - było drugie miejsce na *Przeglądzie śpiewaków i kapel ludowych w Kazimierzu nad Wisłą*. Oczywiście nie mogę zapomnieć o pracy naszego instruktora pana Jarka Pisarskiego, który z nami jeździł na wszystkie imprezy i dodawał pewności siebie.

- Od niedawna mamy stałą siedzibę w budynku Urzędu Gminy. Jesteśmy z tego powodu bardzo szczęśliwe, ponieważ przez wiele lat nasze spotkania i próby odbywały się w użyczanych lokalach, gdzie nie zawsze byłyśmy mile widziane. Dzięki wsparciu naszego wójta Tomasza Sybisa pracuje nam się łatwiej. On docenia to, że pracujemy społecznie i poświęcamy swój czas i energię na zorganizowanie dobrej zabawy nie tylko najbliższym mieszkańcom naszej wsi - opowiada kierowniczka zespołu.

- Promujemy też nasz region w środkach masowego przekazu przypomina jedna z pań. - Robimy to co lubimy, ale przecież nie raz jest to kosztem czasu, który mogłybyśmy poświęcić naszym rodzinom. Zresztą finansowe dotacje z gminy też nigdy nie są wystarczające. Gdy bierzemy udział w konkursach kulinarnych, chęć wygrania powoduje, że wyciągamy domowe zapasy i nie liczymy się z kosztami. Dlatego też możemy pochwalić się licznymi nagrodami za potrawy i organizację stołu. Mamy też wypieki, które są naszą słodką tajemnicą. Tak więc przepis na babkę drożdżową pani Bogusi Suchostawskiej jest ściśle strzeżony i nawet żadna z nas go nie zna. Na ostatniej, szesnastej już Biesiadzie w Pielgrzymce wygrały nasze placuszki - pampuchy lwowskie. Zainteresowanym tym smakołykiem podaję przepis:

Pampuchy lwowskie

Bierzemy jeden kilogram mąki tortowej, 3 jaja, szczyptę soli, 3 czubate łyżki cukru oraz dwie łyżeczki sody .Do tych składników wlewamy tyle zsiadłego mleka, żeby powstało ciasto o konsystencji bardzo gęstej śmietany. Smażymy małe placuszki na gorącym oleju. Palce lizać!

Pielgrzymianki działają przy Stowarzyszeniu Zespołów Folklorystycznych Gminy Pielgrzymka. W skład stowarzyszenia wchodzi pięć zespołów: *Czaplanki*, *Macierzanki*, *Sami Swoi*, *Polanki* i nasze bohaterki felietonu *Pielgrzymianki*. Są one niezastąpioną podporą przy organizowaniu imprez kulturalnych i sportowych na terenie gminy. Uczestniczą we wszystkich przeglądach zespołów folklorystycznych. Trzy razy nagrywały audycję dla Polskiego Radia Wrocław w 1985 roku, 1991 i w 2006 roku. Brały też udział w imprezach ogólnopolskich. Był to festiwal kapel i śpiewaków ludowych w Kazimierzu nad Wisłą oraz w światowym festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie. Nie brakuje ich także na uroczystościach organizowanych przy kościele parafialnym. Często goszczą w Złotoryi. Pan Andrzej Kowalski zaprasza je na *Dymarki*, czy *Barbórkę*, która kończy się występami w restauracji *Przy Miłej*. Ale największym przeżyciem był dla zespołu występ w telewizji, w audycji *Asy Polsatu* razem z panem Zenonem Bernackim, głównym bohaterem tego programu.

I tu powinnam wspomnieć o tym, że nazwisko pana Zenka przewija się w większości wspomnień tej rozmowy. Jest on niestrudzonym organizatorem życia kulturalnego gminy Pielgrzymka i wspaniałym gospodarzem zamku Grodziec.

Spotykam go trzynastego czerwca w Nowej Wsi Grodziskiej na jubileuszu 25-lecia zespołu folklorystycznego *Polanki*. Prowadzi biesiadę jubileuszową ze swadą i przeplata wspomnienia o jubilatkach żartami, rozbawiając całą salę. Wszyscy bawią się doskonale, a stoły tradycyjnie uginają się od smakołyków przygotowanych przez wszystkie zespoły.

Elżbieta Łukjańczuk
zdjęcia z archiwum zespołu

Gdy w latach 70 przemierzałem drogę do szkoły niezamieszkałymi wówczas rejonami Legnickiej i Okrzei, często mijałem Stasia, który podążał własnymi ścieżkami. Trochę się go wtedy bałem, bo wśród dziatwy szkolnej różne krążyły opowieści. Patrzyłem z boku, jak kierowcy dla żartu trąbili za nim, a dzieci dokuczały. Przez te wszystkie lata wrósł w złotoryjski krajobraz w stopniu znacznie większym niż dane jest to wielu mieszkańcom naszego miasta. Nadal jednak pozostał postacią pełną tajemnicy. Tym bardziej cieszę się, że za sprawą Agnieszki Młyńczak, choć w części, tą tajemnicą zgodził się z nami podzielić.

Robert Pawłowski

Stasiu

Urodził się na prima aprilis. Kilka lat później okazało się, że los zrobił mu psikusa, bo nie mógł mówić. Miał przyrośnięty język. Jego rodziców nie stać było na drogą operację, która być może usunęłaby tę wadę. Zresztą wybuchła wojna i wtedy nikt się nie zajmował małymi chłopcami z przyrośniętym językiem. Poza tym Stasiu chował się zdrowo, chociaż był niemową.

Po wojnie chciano go posłać do specjalnej szkoły w Krakowie dla dzieci z tego typu wadami. Ojciec mówił o tym swobodnie w jego obecności, a on wszystko słyszał i rozumiał. Wtedy uciekł z domu. Za nic w świecie nie chciał się znaleźć w obcym miejscu, z dala od znajomych łąk, gdzie pasał krowy i był szczęśliwy. Spał w stodole przez miesiąc, a matka Katarzyna nosiła mu jedzenie, chcąc przeczekać, aż mężowi przejdzie złość i zrezygnuje ze swojego zamiaru. Serce matki wiedziało, że jej synek poszedłby tam na poniewierkę. Ojcu w końcu przeszło i Staś mógł wrócić do domu. Znowu pasał krowy i już nikt nigdy nie chciał posłać go do żadnej szkoły.

Gdy Staś otrzymał dowód osobisty, stał się obywatelem Stanisławem Stanowskim. Ze zdjęcia spogląda poważnie młody sympatyczny mężczyzna z szerokimi brwiami i gęstą ciemną czupryną. W dokumencie napisano: wzrost niski, oczy szare, znaki szczególne: niemy. Jednak ten dorosły obywatel nadal ma duszę czteroletniego dziecka. Uwielbia bawić się z dziećmi i dorośli w jego rodzinie zawsze bez obaw powierzali jego opiece swoje latorośle, którymi gorliwie się opiekował. W ten sposób wykołysał też swojego siostrzeńca Kazia, który po latach stał się jego prawnym opiekunem. Zresztą babcia Katarzyna wymogła kiedyś przyrzecznie od swojego wnuka Kazimierza, żeby opiekował się Stasiem do końca swoich dni i żeby, broń Boże, nie oddawał go do żadnego zakładu. Kazimierz spełnił jej obietnicę i teraz wraz z żoną Beatą i dziećmi daje ciepło rodzinne swojemu wujowi.

Po śmierci swojej matki Katarzyny Stasiu często chodzi na cmentarz, aby odwiedzić jej grób. Zawsze znajdzie się ktoś życzliwy, aby zapalić znicz, który przynosi ze sobą.

Stasiu umie się dogadać ze swoimi bliskimi za pomocą systemu znaków, które sam wymyślił. Uwielbia oglądać bajki w telewizji i bawić się swoimi zabawkami. Nie jest przecież głupi, potrafi nawet zrobić sprawunki, pokazując w sklepie kartkę z wykazem zakupów, przygotowaną przez Beatę.

Od czasu do czasu odwiedza swojego starszego brata na Kopaczu, dokąd trafia bez problemu z centrum Złotoryi. Lecz gdy idzie i gra na swoich ukochanych organkach, zbacza z pobocza na środek jezdni i nie zwraca uwagi na samochody. Kiedyś został nawet potrącony gdzieś na Legnickiej, ale kierowca od razu udzielił mu pomocy, wezwał pogotowie i Stasiu uszedł z życiem, lecz przypłacił to częściowym paraliżem lewej strony.

Podczas swoich codziennych wędrówek po mieście czasem przystaje przed otwartymi drzwiami sklepu spożywczego i tak długo gra, aż ekspedientka zlituje się i da mu jakiegoś cukierka. Czasem ktoś do niego zagada, a wtedy, używając swojego systemu znaków i ekspresyjnej mowy ciała, Stasiu opowiada, co robi lub dokąd idzie.

Do piekarni Grzegorza Barana od kilku lat przychodzi codziennie, w każdy poranek. Wchodzi, uśmiecha się tym swoim nieśmiałym uśmiechem, a dziewczyny już wiedzą, że Stasiu czeka na bułeczkę.

- Naturalnie, że potrafię się z nim porozumieć - opowiada Barbara, pracownica piekarni. - Stasiu przychodzi, wyciąga na przykład puszkę z piwem, a ja pytam: „popiłeś sobie?" Stasiu kiwa głową, że tak. Czasem bawimy się, ganiając się po sklepie.

- Gdy się zdenerwuje, potrafi wyzywać, bo zna parę niecenzuralnych słów - dodaje Agnieszka.

- Nasz szef, pan Baran, bardzo go lubi, dlatego mamy pozwolenie na dawanie Stasiowi bułek. Jak przychodzi, a jest szef, zawsze trochę „pogadają" - ciągnie z uśmiechem Barbara. - Pamiętam, że gdy Stasiu zachorował, to szef poszedł do szpitala go odwiedzić.

- Tak, brakowało nam Stasia, gdy leżał w szpitalu - dodaje Agnieszka. - To taki pogodny człowiek.

Z wdzięczności za otrzymane bułeczki, Stasiu gra dziewczynom na organkach najpiękniej, jak potrafi, czasem zatańczy po swojemu, przytupując.

- Widziałem kiedyś, jak Stasiu sprzątał miasto - wspomina pan Roman. - W tym dniu szedłem wyjątkowo wcześnie do pracy. Na Alei Miłej nie było jeszcze ludzi. Wszędzie walały się śmieci, butelki i poprzewracane kosze po tzw. weekendowej rozrywce młodych ludzi. Przede mną szedł Stasiu i pochylając się co chwila, podnosił śmieci i wrzucał je metodycznie do koszy. Od czasu do czasu podnosił i porządnie ustawiał przewrócony kosz na śmieci. W ten sposób wysprzątał całe alejki.

- Stasiu jest w każdą niedzielę w kościele na mszy - opowiada nauczyciel złotoryjskiego liceum. - Ja chodzę zwykle na popołudniową mszę i widzę, jak Stasiu siada zwykle z tyłu, po prawej stronie. Pamiętam, że kiedyś, gdy wchodził do ławki, ludzie odsuwali się jak najdalej od niego. Od kilku lat sytuacja się zmieniła. Gdy jest wolne miejsce, ludzie zachęcają go, by usiadł obok nich. Po jego wyglądzie widać, że ma porządnych opiekunów, bo jest ogolony i w czystym ubraniu. Przez całą mszę siedzi cichutko, nikomu nie przeszkadzając. Myślę, że chociaż nie umie mówić, ma swoje własne relacje z Bogiem, nieznane tym, którzy potrafią odmawiać modlitwy. I jestem też przekonany, że dobry Bóg tam, u siebie, ma dla Stasia specjalny kącik.

Agnieszka Młyńczak

Czytelnicy napisali

Pragnę odnieść się do artykułu pani Łukjańczuk - 'Zielone płuca Złotoryi'. Wypisuje Pani stek bzdur wprowadzając w błąd czytelników.
Każdy wie, jak ważna jest przyroda, ale najpierw trzeba dojść sedna, dlaczego te drzewa zostały ścięte, a potem wydawać opinię na ten temat. Jestem mieszkanką ul. Klasztornej i to drzewo zostało ścięte nie dla kaprysu - stanowiło zagrożenie dla mieszkańców bloku obok, niszczyło poszycie dachu. Jedynie w czym można Pani przyznać racje to, to ze pień tego drzewa nie wygląda ładnie i szpeci wygląd. Drzewa powinno się sadzić z rozumem, a nie byle gdzie, żeby potem stanowiły zagrożenie.
Proszę o sprostowanie artykułu i nie wprowadzanie w błąd czytelników.
Jeżeli bierze sie Pani za coś, to proszę to na przyszłość wykonywać staranniej, a nie tylko po łebkach.

Anna Jaworska

Doskonale rozumiem krytyczny stosunek do mojego artykułu. Podczas przygotowań do tego tematu spotkałam wiele osób o pani poglądach. Sporo drzew w tym mieście komuś przeszkadza i gdyby nie rygorystyczne przepisy, z pewnością wycięto by osiemdziesiąt procent drzewostanu. Dlatego nadal upieram się przy maksymalnej ochronie naszej miejskiej zieleni.

Ostatnie huragany doskonale pokazały, że drzewa nie tylko należy sadzić, ale wybierać właściwe gatunki i odpowiednio je pielęgnować.

Elżbieta Łukjańczuk

Morderstwo drzewa

W całości zgadzam się z autorką tekstu „Zielone płuca Złotoryi" (nr 6-7/2009 „Echa Złotoryi") panią Elżbietą Łukjańczuk i gorąco popieram piętnowanie urzędników ścinających bez opamiętania drzewa w naszym mieście. Pragnę opisać kolejne morderstwo drzewa.

W samym środku Złotoryi, przy ulicy Basztowej, na skwerze, rósł ponaddwudziestoletni piękny klon jawor. Drzewo nie było wysokie, miało wielką rozłożystą koronę i dawało chłodny cień latem ludziom siedzącym na ławce pod nim. W tej koronie schronienie miały liczne ptaki. I takie oto drzewo padło pod rękami pracowników Rejonowego Przedsiębiorstwa Komunalnego 16 czerwca, we wtorek. W środę na tym miejscu został już tylko świeży pniak, a w czwartek, trzy dni po ścięciu drzewa, pniak usunięto, miejsce starannie wyrównano i zagrabiono. Po pięknym zielonym jaworze został jedynie niewielki okrąg gołej ziemi w zielonym trawniku. Prawdopodobnie za kilka tygodni trawa urośnie i po drzewie nie będzie śladu.

Ścięcie drzewa odsłoniło, owszem, widok na zabytkowy kościół, jak też na wątpliwej urody skrzynkę energetyczną oraz tablicę ogłoszeniową jakiejś instytucji.

*Wyjątkowo sprawnie służby miejskie uporały się z zielonym drzewem. Ciekawe, czy podopieczni opieki społecznej otrzymali jakieś kubiki drewna z tego jawora (o czym próbuje przekonać Bogumiła Markowska w artykule E. Łukjańczuk)? No i pytanie zasadnicze: **dlaczego** to drzewo zostało ścięte i dlaczego **latem**, gdy gniazdowały w nim ptaki?*

Jak wieść niesie, burmistrz naszego miasta Ireneusz Żurawski oświadczył, że decyzję o ścięciu drzewa podjął on sam dlatego, że zasłaniało widok na kościół. Gratuluję burmistrzowi spostrzegawczości w środku lata, bo zauważył, że na skwerze rośnie drzewo. Nachodzi mnie jednak refleksja, że w naszym mieście sporo jest zabytków, przy których jeszcze rosną drzewa. Boję się, że może nadejść taki dzień, że wszystkie duże drzewa w naszym mieście zostaną wycięte, bo zasłaniają jakieś widoki. A wtedy, w kamiennej pustyni, jaką stanie się nasze miasto, być może już inny burmistrz zacznie sadzić nowe drzewa. Jednak, aby osiągnęły taki wygląd, jaki miał ścięty klon, minie dwadzieścia długich lat. Lecz przedtem obecny burmistrz będzie już emerytem, który wraz z innymi kolegami emerytami siądzie na ławeczce pod kościołem w skwarnym słońcu i zapyta:
- Dlaczego tu nie ma żadnego cienia?

Pozdrawiam ,

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

PS
Mam ogromną pretensję do radnych naszego miasta, że nie reagują na tego typu przypadki.

W poszukiwaniu ładu

Wiktor Zakrzewski: Opowiedz o początkach Twojego związku z fotografią?

Krystian Sarczyński: Wychowywałem się w domu, w którym fotografia była elementem rodzinnej filozofii życiowej. Choć pechowo dla mnie, większa część tego okresu przypadła na czas, w którym jeszcze nie stąpałem po ziemi, zdążyłem mimo wszystko stać się uczestnikiem tego życia. Ze względu na ówczesne uwarunkowania, fotografia gościła w wielu domach i była jedną z niewielu możliwości rozwijania twórczych pasji. Do końca życia zostanie ze mną zapach wywoływaczy. Nie zapomnę widoku łazienki, jedynego ciemnego miejsca w domu, z czerwonym światłem i stertą kuwet pod wanną. Taka prowizorka miała swój genialny posmak, szkoda że mogłem to tylko oglądać i to jedynie w towarzystwie dorosłych. Choć dzisiaj przerobiony powiększalnik robi za kwietnik, sprzęt oddany w trudnych czasach do lombardu poszedł w świat, tamte zdjęcia wciąż urzekają swoją magią. Myślę, że właśnie stamtąd wziął się pomysł fotografii. Jestem nawet pewien. Pierwsze zdjęcie sam wykonałem 16 lat temu i było wyjątkowo nieudane.

W jaki sposób szukasz kadrów, pomysłów? Co najbardziej chciałbyś uchwycić w obiektywie swojego aparatu?

Myślę, że naturalną koleją rzeczy, każdy przechodzi ewolucyjną drogę. Na początku jest to tylko zabawa, bez naleciałości formalnych. Z czasem przychodzi chęć uporządkowania bałaganu. Wtedy szuka się książek, czasopism, jakiegoś rodzaju wiedzy. Przegląda się tysiące zdjęć, szukając inspiracji i drogi do odnalezienia ładu. Także wówczas, na dobre zaznajamiamy się z urządzeniem, które mamy w rękach. Dopiero na końcu przychodzi moment, w którym nie trzeba szukać odpowiednich funkcji czy zastanawiać się, jakiej przysłony użyć. Dopiero taka swoista wolność, w połączeniu z teorią, daje możliwość dalszego rozwoju. Od tej chwili to właściwie aparat przyrasta do ręki i jego wykorzystywanie staje się tak samo oczywiste jak każdego innego urządzenia. Wciąż przeglądam setki zdjęć dziennie, najmniej chętnie własnych. Zawsze staram się uchwycić chwilę. Moment, który już się nie powtórzy, a któremu towarzyszą emocje, nieważne moje czy modela. Ważne, bym mógł, za każdym razem popatrzywszy na zdjęcie, zamknąć oczy i oddać się strumieniowi snapshotów, przelatujących pod powiekami. Jeśli fotografuję ludzi, chciałbym, by mogli przeżyć to samo.

Masz swojego ulubionego fotografa, mistrza?

Mistrza nie, ulubionych fotografów kilku. W fotografii przyrodniczej to, np. Marcin Karetta czy bracia Kłosowscy. W ślubnej Jeff Ascough, a w fotografii ludzi szczególnym sentymentem darzę Richarda Avedona. Wiem, że jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego, ale wykonuję różne zdjęcia i nie jestem wierny tylko jednej dziedzinie.

Czy masz jakieś marzenie związane fotografią, czy widzisz w niej jakiś cel, zamierzenie?

Celem jest ona sama w sobie. Jak myślę o swojej emeryturze, przy założeniu, że wciąż będę i fotografia wciąż będzie, bo kierunku zmian nie sposób przewidzieć, tak jak swojego życia, to chciałbym swój schyłkowy czas poświęcić właśnie jej. Moim marzeniem jest realizowanie siebie w fotografii przyrodniczej, na którą najzwyczajniej nie mam czasu. Wymaga ona też specyficznego, niestety drogiego sprzętu, a przede wszystkim wiedzy, której z pewnością też mi jeszcze brakuje. Ale to jest moje marzenie na przyszłość: leżeć w jakimś bagnie, cały oblepiony komarami, mokry i zmarznięty, słuchając kojącego klangu żurawi i uwieczniając ich taniec. Mam jeszcze jedno marzenie, z pewnością niemożliwe do spełnienia. Wiem od mojej mamy, że w stanie wojennym milicjanci przeszukiwali nasze mieszkanie i zabrali pokaźne archiwum. Chciałbym móc te zdjęcia zobaczyć. Nie wiem, czy w którymś archiwum spokojnie sobie leżakują, czy też jakiś mundurowy watażka trzyma je w pudle w piwnicy, bo było tam też sporo aktów. Chciałbym je odkryć na nowo..

Twoje archiwum musi być przebogate

Nie jestem teraz pewien, jak jest dokładnie, ale myślę, że do stu tysięcy zdjęć wiele nie brakuje. Oczywiście na papierze mam z tego tylko niewielki wycinek. Choć opisuję je i kataloguję, nieraz jest to wcale niełatwe, odnaleźć szybko i sprawnie jakieś konkretne ujęcie. Strach pomyśleć, co będzie za 10 czy 30 lat.

Jak rozwijał się Twój fotograficzny ekwipunek i na czym obecnie pracujesz?

Pierwszy aparat dostałem od ojca do zabawy. Był to dwuobiektywowy Start 66 o klatce 6x6. Był jednak uszkodzony, więc robił za zabawkę z zabawnym wizjerem. A jeśli mówimy o wykonywaniu zdjęć, jak w przypadku większości osób mojego pokolenia, w sposób naturalny najpierw były popularne Zenity. Do dzisiaj mam TTL-kę i kilka szkieł. Z tego okresu posiadam także dalmierzowego Fed'a 5. Od pięciu lat jestem użytkownikiem urządzeń cyfrowych. Pierwszą cyfrówką była Minolta Z2, kompakt, ale na owe czasy był to i tak skok gigantyczny. Obecnie pracuję, i nie mam zamiaru przestać, w systemie Nikona. Oczywiście na lustrzankach, o średnioformatowcach można tylko pomarzyć. Zebrałem dotąd także pokaźną szklarnię, pokrywającą zakres od 10 do 630 milimetrów, na teraz mi to wystarcza. Udało mi się także urządzić studio. Najbliższy planowany zakup łączę z dobrym „rybim okiem".

Podczas fotografowania strzelasz seriami jak z karabinu maszynowego czy raczej zachowujesz się jak snajper?

Zależy od sytuacji i obiektu. Ostatnio wykonywałem zdjęcia ślubne w Niemczech i goście byli wyraźnie zszokowani, jak strzelałem momentami po kilka klatek na sekundę. Wygodniej jest robić po kilka klatek, nigdy nie sposób przewidzieć, czy ktoś nie mrugnie albo nie zrobi nieciekawej miny, a nie lubię ustawiania ludzi do zdjęcia. Jak starają się pozować, często są nienaturalni. Ale oczywiście w innych sytuacjach robię często zdjęcia pojedynczo, szczególnie gdy mam czas na zbudowanie kompozycji w kadrze. Także w studio, gdzie jest czas, migawka klapie rzadziej.

Realizując zamówienie typu: wesele, chrzciny, nie masz obaw, że przeważy komercja?

Do pewnego stopnia to jest komercja. Z czegoś trzeba przecież żyć. Nie można wymagać, by na przykład producent samochodów produkował tylko pojazdy rajdowe i wyłączone ze sprzedaży. Ale jeśli przejrzeć zdjęcia uznanych fotografów, widać wyraźnie, że można przemycić tutaj sporo sztuki, co z różnym skutkiem staram się czynić. Utrwalony wizerunek fotografa ślubnego jest rzeczywiście nieciekawy. Ale zmiany w świadomości ludzi zachodzą, tylko powoli. Dziś już nieliczni „rzemieślnicy" robią ślubne portrety z jońską kolumienką i skrzypkami. Częścią tej pracy jest podróżowanie, wyszukiwanie plenerów. Fotografia ślubna to wielka przygoda, bo każda uroczystość jest niepowtarzalna. Wielką przyjemnością jest móc uczestniczyć w czyimś szczęściu. A widok kogoś, kto odbiera zdjęcia, które mu się podobają, jest bezcenny.

Rozmawiał Wiktor Zakrzewski
zdjęcia z archiwum Krystiana Sarczyńskiego

Szli na zachód osadnicy…

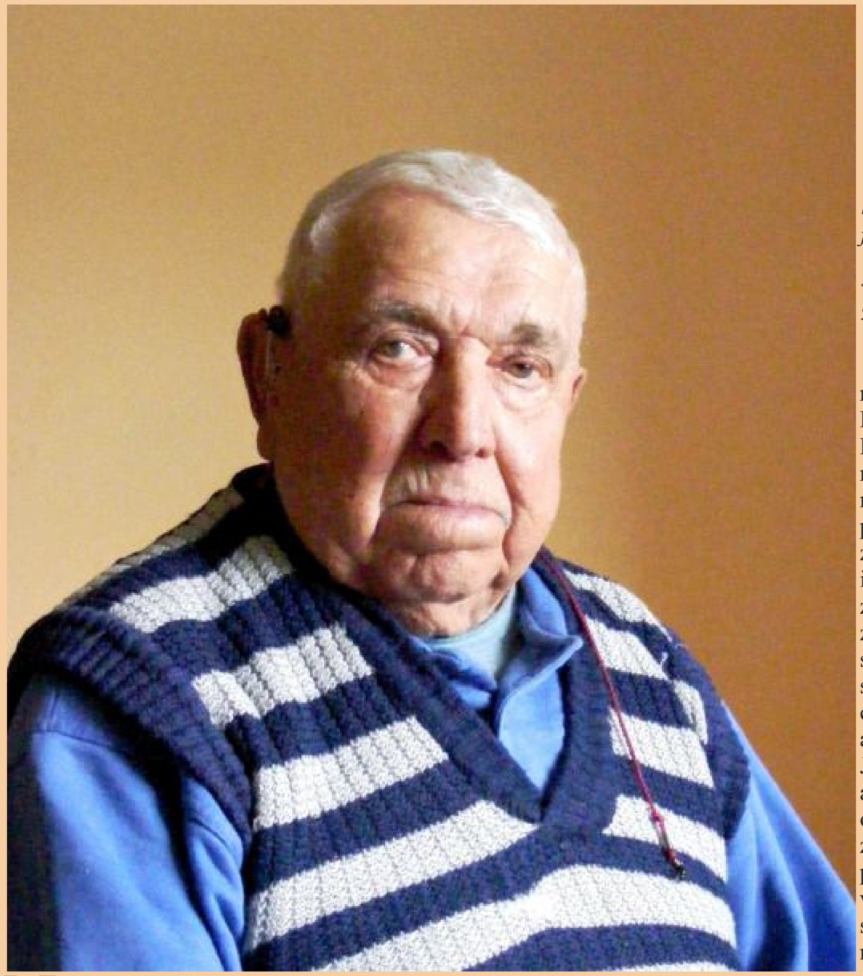

Nazywam się Leon Miakinik i od 11 listopada 2009 roku idzie mi 90 lat. Mieszkam w Sępowie, w domu nr 1, gmina Złotoryja. To ten duży dom z historyczną tablicą. Moje rodzinne strony to województwo wileńskie, powiat Mołodeczno, wieś Gajżewo. Tam było dużo Polaków. Mój ojciec młodo umarł i zostawił pięcioro małych dzieci. Mama musiała zająć się i nami, i dwunastoma hektarami ziemi, dlatego była u nas straszna bieda. Wie pani, jak to jest.

Jak wybuchła II wojna światowa, miałem już 20 lat. Do wojska zostałem zaciągnięty w czterdziestym pierwszym. Naturalnie, że do sowieckiego. Brali do wojska każdego, kogo złapali i nie pytali : Polak czy Rosjanin. Wywieźli nas strasznie daleko w głąb Rosji, siedem tysięcy kilometrów za Moskwę. Trafiliśmy do kołchozu w Kołybackiej Obłasti na Syberii i wykonywaliśmy zwykłe prace polowe, bo wszyscy dorośli mężczyźni byli na froncie. Tam było tak zimno, że już we wrześniu woda w rzekach zamarzała. Głód był straszny, że nie daj Boże. Jako żołnierze Związku Radzieckiego mieszkaliśmy w lesie, w ziemiankach. Oprócz prac w kołchozie mieliśmy też ćwiczenia, nawet dali nam karabiny.

Wszystko zmieniło się w 1944 roku. Zbliżał się koniec wojny i wtedy mogliśmy wziąć w niej udział jako polscy żołnierze. Przywieźli nas do Wólki Leśnej pod Warszawą jeszcze jako żołnierzy sowieckich, ale zaraz dali nam mundury polskie. Ze wzruszeniem założyłem czapkę z polskim orzełkiem. Zostałem wcielony do artylerii wojska polskiego. Przysięgę składałem 10 sierpnia 1944 roku w miejscowości Siedlce. Pamiętam, jak mówiłem: *Przysięgam uroczyście służyć Ojczyźnie do ostatniej kropli krwi. Tak mi dopomóż, Boże.* Następnie kapelan wojskowy poświęcił działa, żeby celnie strzelały i zabijały wroga.

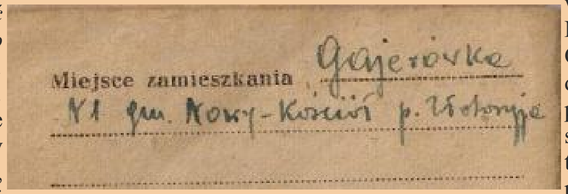
Miejsce zamieszkania Gajerówka N1 gm. Nowy-Kościół p. Złotoryja

Z książeczki wojskowej Leona Makiniaka

Leon, narodowości polskiej, syn Ignacego, 25 lipca 1944 roku stanął przed komisją wojskową w Będaszkowicach. Orzeczono, że jest zdolny do służby liniowej, po czym wcielono do artylerii. Ponieważ pochodził ze wsi i umiał obchodzić się z końmi, został kanonierem jezdnym.

[z książeczki wojskowej Leona Miakinika]

Dowódcą w naszym pułku był Rosjanin, pułkownik Kościejuk. Nie umiał mówić po polsku, ale mnie to nie przeszkadzało, bo ja znam rosyjski w mowie i piśmie. Jezdni mieli za zadanie kierować zaprzęgiem składającym się z sześciu koni, które ciągnęły działo artyleryjskie. Jechaliśmy wierzchem, a każdy z nas miał pod opieką dwa konie w zaprzęgu. Jechaliśmy przeważnie w nocy, bo w dzień były naloty samolotowe niemieckie. Do naszych obowiązków należała również opieka nad końmi. Musieliśmy dbać o nie, czyścić, zapewniać jedzenie i chronić przed kulami. Często było tak, że kopaliśmy duże i głębokie doły, aby schować konie, żeby Niemiec ich nie zastrzelił. Przecież gdyby padły, to kto by ciągnął działo? I tak, siedząc w siodle końskim, przejechałem szlak bojowy przez całą Polskę, część Czechosłowacji, aż dojechałem do Drezna.

Czas na odpoczynek był i owszem. Wtedy pozwalano nam zsiąść z koni, aby rozprostować nogi. Kwatery były w różnych miejscach, jak to na wojnie. W opuszczonych domach, stodołach, jakichś szopach, a często i pod gołym niebem. O aprowizację nie musieliśmy się martwić, bo za nami ciągnęła kuchnia polowa, ale karmili nas bardzo źle. Byliśmy ciągle głodni. Ale wiem, że wtedy głodowała cała Polska. To była przecież wojna. Z chwilą, gdy weszliśmy na tereny niemieckie, mogliśmy do woli najadać się zapasami z piwnic niemieckich gospodyń. Mnie najbardziej smakowały kompoty w słoikach. To było coś cudownego i nowego, bo w moich stronach takich rzeczy nie znano.

Jak było na wojnie? Strasznie. Życie przestało mieć dla nas znaczenie. Piliśmy denaturat, aby dodać sobie odwagi i dlatego, że nie zależało nam na życiu. Co za znaczenie od czego się umrze? Bardzo wielu moich kolegów zostało zastrzelonych, wśród nich byli bardzo młodzi osiemnastoletni chłopcy. Nie wolno nam było zajmować się poległymi. Musieliśmy iść do przodu, ciągle na zachód, bić wroga. Za frontem szła ekipa czyścicieli, którzy uprzątali ciała żołnierzy z pola walki. Mogiły? Ksiądz? Modlitwy? Pani żartuje! Czyściciele kopali wielkie doły, do których wrzucali poległych i przysypywali ziemią. W żaden sposób nie oznakowano, że były to groby. Nie widziałem też, aby przy tym był jakiś ksiądz. Myślę też, że nikt przy tym zakopywaniu nie odmówił nawet modlitwy.

Pranie, bielizna, higiena? Takich pojęć nie znaliśmy. Ubrania i mundury nie były prane nigdy. Bieliznę nosiliśmy dopóty… dopóki nie spadła z brudu. Stopy w butach były owinięte w onuce, czyli zawijki. Skarpety? Ale mnie pani ubawiła! Nikt nawet nie wiedział, że takie coś istnieje. Wszyscy mieliśmy wszy, które nas gryzły, drapaliśmy się bez przerwy. Od czasu do czasu robiliśmy sobie dezynfekcję, czyli łaźnię w jakiejś wsi na szlaku bojowym. Jednak po tej łaźni ubieraliśmy się z powrotem w brudne mundury i wszy nękały nas do końca wojny.

Brał udział w forsowaniu Nysy, w walkach o Drezno, Pragę czeską. Otrzymał pochwały od marszałka Stalina i od Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych. Otrzymał order za bitwę o Berlin.

[z książeczki wojskowej Leona Miakinika]

Gdy doszliśmy do Drezna, walki nasiliły się. Samoloty ciągle latały nad miastem i zrzucały bomby. Wtedy zostałem ranny i przywieziono mnie do szpitala w Rawiczu. Gdy stamtąd wyszedłem, wojna już się skończyła. Jednak ja ciągle jeszcze byłem żołnierzem i podlegałem wojskowym rozkazom. Kończył się rok 1945. Wzięli mnie na Sanok do likwidacji ukraińskich band. W Bieszczadach robiłem to samo, co na wojnie, pilnowałem koni. Nas była armia ludzi, mieliśmy artylerię, samoloty i amunicję. Oni nie. Byli bez szans. Bardzo szybko rozprawiliśmy się z bandami i na Boże Narodzenie zostałem wypisany do domu.

Zdemobilizowany 18 grudnia 1945 roku na podstawie rozkazu Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego nr 0181 z dnia 18 sierpnia 1945 roku.

[z książeczki wojskowej Leona Miakinika]

Zacząłem się zastanawiać, co mam dalej ze sobą robić, gdzie zamieszkać. Mogłem wybrać albo powrót do rodzinnych stron, na Wileńszczyznę, albo osiedlenie się w dowolnej miejscowości na Ziemiach Odzyskanych. Byłem kawalerem, rodzeństwo było bardzo daleko, już w innym państwie, za granicą. Pamiętałem bardzo dobrze straszną nędzę i głód mojej rodziny i wszystkich mieszkających w mojej wiosce. Ziemia była ciągle dzielona między dzieci, było jej coraz mniej, nie można było z tego wyżyć. Natomiast tu, na Śląsku ziemi było pod dostatkiem, a w opuszczonych przez Niemców gospodarstwach stały dobrej jakości maszyny i narzędzia rolnicze. W piwnicach ciągle jeszcze były kompoty w słoikach, takie dobre!

Książeczka wojskowa Leona Makiniaka

Postanowiłem pojechać do Lwówka Śląskiego, bo gdy leżałem w Rawiczu w szpitalu, trochę o tym mieście słyszałem. Z Bieszczad wędrowałem trochę piechotą, czasem furmanką, trochę pociągami, za które nic nie płaciliśmy. Byłem ubrany w polowy mundur wojskowy i wszyscy odnosili się do mnie przyjaźnie i życzliwie. Jeśli chodzi o jedzenie, to po drodze były rozmieszczone punkty wojskowe, gdzie zdemobilizowanym żołnierzom dawali pożywienie. Podróżowałem na Śląsk z kilkoma kolegami z wojska i postanowiliśmy po drodze, że osiedlimy się w Gajerówce (dzisiejszy Sępów - przyp.A.M.), bo do Lwówka było jeszcze kawałek drogi. Zresztą mówili, że i tak będziemy tu mieszkać niedługo, bo wkrótce wrócą Niemcy i odbiorą swoją ziemię. Byliśmy pierwszymi mieszkańcami wsi. Wtedy w Gajerówce było tylko trzynaście domów, w nich jeszcze mieszkali Niemcy. Jak nas przyjęli? Przecież nie mieli nic do gadania, ale nasze stosunki układały się poprawnie.

Do zamieszkania wybrałem dom, w którym mieszkam do dzisiaj. Na początku przez kilka miesięcy było tu małżeństwo niemieckie. On był Ślązakiem z Górnego Śląska i mówił po polsku, ona była Niemką. To byli bardzo porządni ludzie. Ta kobieta gotowała nam, dobrze nam się mieszkało razem w tym dużym domu. Pozwolono im zostać tutaj po wojnie, ale Niemka nie chciała.

Zaraz po wojnie, gdy tylko osiedliliśmy się, rząd polski dał nam pożyczkę po dziesięć tysięcy złotych na zagospodarowanie. Niemka, która mieszkała w tym domu, miała krowę. Dzięki temu zwierzęciu mieliśmy mleko, masło, śmietanę i sery. To było bogactwo, jak na tamte czasy, gdy trudno było dostać podstawowe produkty żywnościowe. Chleb piekliśmy swój w piecu chlebowym, który stał w ogrodzie, tu za domem.

Ziemię mogłem brać jakąkolwiek i gdziekolwiek i tyle, ile chciałem. Czy mogłem wziąć sto hektarów? Pewnie, że tak! Ale wziąłem tylko dwanaście, które uprawiałem cały czas aż do zdania gospodarstwa na skarb państwa i przejścia na emeryturę rolniczą, tę gierkowską. Jako rolnik uprawiałem pszenicę, buraki, mieliśmy też krowy i świnie, owce, dużo gęsi. Z narzędziami i maszynami rolniczymi nie było problemów. Niemcy zostawili wszystko.

Osadnicy wojskowi dostawali od rządu polskiego konie do pracy w gospodarstwie, a mnie dostał się wół. On był lepszy niż koń. Wół jak nie może pociągnąć pługa podczas orki, to padnie na kolana i dalej ciągnie. Taki silny!

Sklepów zaraz po wojnie nie było, za to w Legnicy i innych większych miastach organizowano raz na tydzień jarmarki. Można tam było dostać wszystko: od serów, jajek i śmietany poprzez przedmioty gospodarstwa domowego po świnie, krowy i konie. Z mojego domu urząd skarbowy zabrał fortepian, bo nam nie wolno było go mieć. Kto mógł im się przeciwstawić? Nikt! Później podobne cenne przedmioty można było znaleźć na takich jarmarkach.

Medal za udział w walkach o Berlin

Póki mosty kolejowe były pozrywane i nie chodziły pociągi, do Legnicy na jarmark chodziliśmy piechotą. Byliśmy młodzi, po drodze śmialiśmy się, żartowali, śpiewali piosenki. Wesoło było. Niektórzy mieli rowery, co po Niemcach zostały. Zazdrościliśmy im tych pojazdów.

Konkurencją dla jarmarków były opustoszałe niemieckie gospodarstwa. Jeździliśmy po wsiach i braliśmy z tych domów co się dało: sukienki, garnitury, płaszcze, ubranka dla dzieci, buty, bardzo użyteczne przedmioty w gospodarstwie domowym. Niektórzy tymi ubraniami handlowali, jak to Polacy… Gdy już przywrócono ruch kolejowy, jeździliśmy pociągami. Tutaj sieć kolejowa była bardzo gęsta. Bilety były bardzo tanie. Przykładowo bilet do Legnicy był w cenie jednego jajka.

1946 r. Po lewej Paweł Wojciukiewic z prawej Leon Miakinik (z archiwum rodzinnego)

Gdy poznałem moją przyszłą żonę, miałem już pod trzydziestkę i byłem początkującym gospodarzem z dwunastoma hektarami ziemi. Pobraliśmy się w 1947 roku i przeżyliśmy razem 57 lat. Ślub braliśmy w kościele świętej Jadwigi w Złotoryi. Mieliśmy z żoną czterech synów i jedną córkę. Na nasze złote gody, czyli pięćdziesięciolecie pożycia małżeńskiego od prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Aleksandra Kwaśniewskiego dostaliśmy order.

Moja żona ściągnęła ze swojej rodzinnej Lubelszczyzny całą swoją rodzinę: matkę, kuzynkę, ciotkę, wujka. I tak mieszkaliśmy wszyscy razem w tym dużym domu, a jeszcze było dosyć miejsca.

Uznany za zdolnego do służby liniowej i przeniesiony do rezerwy 12 kwietnia 1949 roku rozkazem Ministra Obrony Narodowej nr 184 z dnia 7 grudnia 1948 roku - paragraf 48/1.

[z książeczki wojskowej Leona Miakinika]

Gdy w latach pięćdziesiątych zakładali we wsi spółdzielnię rolniczą, była straszna nagonka. Chodzili po wsiach, łapali ludzi, namawiali, nawet grozili. Ludzie się bali. Pamiętam, jak Paweł z naszej wsi powiedział: „Teraz będzie tak jak w Rosji, będziemy jeść z jednego kotła." Ktoś doniósł i Paweł odsiedział w więzieniu dwa lata. Ja się też bałem, więc się zapisałem do spółdzielni. Ponieważ byłem osadnikiem wojskowym, kazali mi się zapisać do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Miałem ponad trzydzieści lat, więc byłem świadomy tego, do jakiej partii się zapisuję. Tylko wiedziałem też, że nie będzie ze mnie żaden partyjniak. Nigdy nie chodziłem na zebrania partyjne.

Gdy zostałem sołtysem (drugim z kolei w naszej wsi), zbierałem podatki, chodziłem na sesje rady narodowej. Wtedy życie na wsi wyglądało zupełnie inaczej niż teraz. Byliśmy młodzi, mieliśmy już swoje rodziny lub je właśnie zakładaliśmy i każdy z nas miał gospodarstwo. Duże. Żeby dobrze gospodarować, musieliśmy pomagać sobie nawzajem. W takich akcjach jak żniwa, młócenie czy wykopki ziemniaków uczestniczyła cała wieś u każdego gospodarza z osobna. Wspólna praca kończyła się zwykle wspólnym biesiadowaniem i tańcami. Każda rodzina miała po kilkoro dzieci. Dlatego nawzajem byliśmy dla naszych dzieci chrzestnymi, potem braliśmy udział w ich pierwszej komunii, a potem były śluby i wesela naszych dzieci. Bawiliśmy się wszyscy razem, stanowiliśmy jedną wielką rodzinę.

Ponieważ w sklepach wódka była droga, pędziliśmy samogon. Ja też to robiłem. Kiedyś władza złapała mnie na tym procederze. Myślę, że ktoś doniósł. Zresztą nagonka milicji objęła całą wieś. Kilku funkcjonariuszy chodziło z nakazem rewizji po budynkach gospodarczych i domach, gdzie na stołach jawnie stał samogon w butelkach, niekiedy już zaczęty. To im wystarczało do zebrania dowodów winy. Pamiętam, że moja sąsiadka złapała wtedy sagan z zacierem… i w las! Ona jedna zdołała uciec i nie była sądzona. Cała reszta wsi została ukarana. Ja zapłaciłem wtedy wysoką grzywnę 8000 złotych, co równało się dwóm tonom pszenicy. To jednak nie powstrzymało nas od pędzenia bimbru, tyle że teraz bardziej się pilnowaliśmy. Alkohol był wtedy w Polsce jednym ze środków płatniczych. Bimber wręczało się jako łapówkę, od niego zaczynało się i kończyło interesy, dawano go w prezencie. Piło się dużo i często. Ileż to razy pijani wracaliśmy do domów furmanką. Prowadził nas koń, który zawsze trafił do domu. To było życie…

Mnie było dobrze w państwie komunistycznym. Jako kombatanta zapraszano mnie na każdą akademię z okazji wybuchu wojny czy jej zakończenia lub innych świąt państwowych. Władze zawsze odnosiły się do mnie z szacunkiem. Zupełnie za darmo wiele razy jeździliśmy wraz z żoną na wycieczki, które były organizowane kilka razy w roku dla kombatantów, byliśmy kilka razy w sanatorium.

Moje rodzeństwo parę razy zaraz po wojnie przyjeżdżało tu, do mnie. Mówili więcej po rosyjsku niż po polsku. Czy chcieliby się tu osiedlić? Nie, nie chcieli, chociaż widzieli, że mnie tu bardzo dobrze, że nie cierpię głodu ani nędzy, że mam taki duży dom. A potem już ich nie puszczali przez granicę. Z pięciorga mojego rodzeństwa przy życiu zostałem tylko ja… Chyba przez wojnę żyję tak długo.

W razie powołania do służby wojskowej wskutek mobilizacji należy zabrać ze sobą żywność na czas drogi do wyznaczonej formacji i przybory do jedzenia, to jest łyżkę, nóż, kubek i miskę lub talerz blaszany. Prócz tego należy przynieść ze sobą: buty długie (bronie konne) lub trzewiki (piechota), koc lub derkę, ręcznik, koszulę, kalesony i onuce (cienkie latem, a ciepłe zimą), chustki do nosa, sweter czyli kaftan wełniany, pasek do spodni, manierkę, rękawiczki, plecak typu sportowego. Za wszystkie przedmioty uznane za zdatne będzie uiszczona zapłata w gotówce natychmiast po zgłoszeniu się w formacji.

[z książeczki wojskowej Leona Miakinika]

wspomnień osadnika wojskowego
wysłuchała Agnieszka Młyńczak

P.S.
Niestety pan Leon Miakiniak nie doczekał publikacji jego wspomnień.
Zmarł 1 sierpnia br.

Panorama wsi Sępów - fot. Henryk i Agnieszka Młyńczakowie

NAZWA

Sępów to mała osada, w przeszłości całkowicie związana i zależna od rolnictwa – obecnie charakter wsi ulega zmianie. Sępów jest dziś przysiółkiem Wilkowa-Wsi.

W źródłach i dokumentach pojawiają się generalnie 3 nazwy miejscowości; po raz pierwszy Sępów wzmiankowany jest jako Geyersberg w roku 1430. W 1765 roku pojawia się, fonetycznie tak

fot. G.Staronka Tabliczka do zaprzęgu konnego w Gajerówce (obecnie Sępów)

samo brzmiąca nazwa, lecz o innej pisowni – Geiersberg. I taka nazwa, i pisownia utrzymała się do zakończenia II wojny światowej. Polska nazwa, Sępów, jest prawie wiernym tłumaczeniem niemieckiej – bardziej precyzyjna byłaby tylko „Sępia Góra". Nie można wykluczyć, że po nazwie „Geiersberg" pojawiła się na krótko inna polska nazwa, gdyż nazwy „Sępów" nie podaje w swoim opracowaniu z roku 1948 St. Rospond. To przypuszczenie potwierdzają pierwsi powojenni mieszkańcy Sępowa, którzy są przekonani, że ich wieś do roku 1950 nazywała się Gajerówka.

Nawiązanie w nazwie do sępa może mieć uzasadnienie przyrodnicze, ale może także wiązać się z legendą, której bohaterem jest rycerz Hans Geyersberg. Siostrę owego rycerza przetrzymywał niedobry rycerz na zamku w Wielisławiu . Hans uwolnił swoją siostrę podstępem, który polegał na tym, że gołębie posmarowano smołą i podpalono je, a one, jak ogniowe pociski wleciały przez okno zamku w Wielisławiu, powodując jego pożar. Hans miał posiadać również w Sępowie swój zamek. Rzeczoznawcy potwierdzają, że na rysunkach F.B. Wernera z połowy XVIII widoczne są ruiny średniowiecznego zamku. Resztki tych ruin miały istnieć jeszcze do wieku XIX i zostały następnie zupełnie zniszczone przez powstające kamieniołomy. Obecnie brak jakiegokolwiek śladu nie tylko po zamku, lecz również po jego ruinie.

ZARYS HISTORI

W Sępowie nigdy nie mieszkało wielu ludzi - z danych statystycznych wynikają, np. następujące liczby: rok 1789 – 85 osób, a 220 lat później, w roku 2009 -150, w tym 77 kobiet.

Stosownie do liczby ludności kształtowała się liczba zabudowań oraz ich jakość, np. w roku 1765 wymienionych jest sześciu zagrodników, dwóch chałupników oraz folwark; w roku 1789 – folwark, sześciu zagrodników, trzech chałupników i jeden kolonista; w 1825 – folwark, szesnaście domów; w 1841 – folwark oraz piętnaście zagród (domów); w 1905 – folwark i trzydzieści domów.

W dokumentach z roku 1430 występuje znana na Śląsku, a szczególnie na Ziemi Złotoryjskiej, rodzina Zedlitz. W posiadaniu tego rodu był nie tylko Sępów – praktycznie była to cała dolina Kaczawy. Prasiedzibą Zedlitzów był Nowy Kościół, w którym mieli swój przepiękny, bajeczny wręcz zamek.

Sępowa nie omijały z pewnością żadne kataklizmy powodowane siłami przyrody. Odnotowano liczne pożary, bardzo groźne epidemie, które dziesiątkowały wieś (1553, 1613).

Prawdziwym nieszczęściem dla Sępowa były przemarsze wojsk. Na przykład w latach 1427-1428 Sępów splądrowali husyci. Przez prawie pół wieku dźwigał się Sępów z pożogi wojny trzydziestoletniej (1618-1648). Przechodzące przez wieś wrogie armie kompletnie zniszczyły Sępów. O tym nieszczęściu informuje tablica na tzw. „Inspektorenhaus" (obecnie budynek nr 1); Inskrypcja jest sporządzona w języku łacińskim, lecz podajemy ją w tłumaczeniu R. Gorzkowskiego:

Za rządów cesarza Leopolda I,
gdy gubernatorem księstwa legnickiego był w jego imieniu
baron Świętego Cesarstwa Rzymskiego Jan Krzysztof z Zierowa Zierowski
a majątkiem, ufundowanym przez najwyższego księcia legnickiego i złotoryjskiego
Jerzego Rudolfa,
administrował Andrzej Franciszek Diconti,
budynek ten, zniszczony zupełnie wojną oraz wieś zostały odbudowane w roku zbawienia 1687.

fot. A. Młyńczak

Po odbudowie, wieś przejęli joannici z kościoła św. Jana w Legnicy i według niektórych danych stan taki istniał do roku 1930, kiedy to majątkiem zarządzał H. Hinke, administrując na obszarze 78 ha.

Tragiczne żniwo Sępów musiał zebrać także w okresie wojen napoleońskich. Można tak sądzić choćby dlatego, że w zasięgu ręki, u podnóża Wilczej Góry, toczyły się ciężkie walki. Dla upamiętnienia tego czasu, w każdy dzień Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny mieszkańców budził trębacz – mogło to oznaczać przypomnienie mobilizacji ludności do obrony lub walki.

CZERWONY KAMIEŃ

Sępów leży na obszarze złotonośnym i w związku z tym przypuszcza się, że próby eksploatacji piasku złotonośnego mogły tu mieć miejsce już w XIII w. Oprócz tego, w niedalekim Czerwonym Kamieniu (325m) występują inne bogactwa naturalne: oliwin, mika, opale. Na szczycie tego stożkowatego wzgórza znajdowało się niegdyś wyrobisko (obecnie pomnik przyrody), w którym widoczne są czerwonawe piaskowce (stąd nazwa). Występują tu także bazalty. Jeszcze w roku 1925 podejmowano wiercenia, do głębokości 26 m, w celu znalezienia złota. Na Czerwonym Kamieniu miał znajdować się ów zamek rycerza Hansa, który zdobyli husyci i długo wykorzystywali go jako punkt sygnalizacyjny. Istnieje także hipoteza, że w zamierzchłej przeszłości miała tu istnieć osada z okresu kultury łużyckiej.

KARCZMA SĄDOWA

Pod względem sądowniczym Sępów należał dawniej do dystryktu złotoryjskiego. Sołtys osobiście, wraz z kilkoma ławnikami, spełniał funkcję sądowniczą w odniesieniu do współmieszkańców. W sprawach trudniejszych i bardziej skomplikowanych zwracał się po porady prawne do Złotoryi. Miejscem pełnienia funkcji sędziego była zazwyczaj tzw. karczma sądowa, w której w określone dni odbywały się „rozprawy". W odniesieniu do Sępowa źródła nie wymieniają takiej karczmy, lecz nie ulega wątpliwości, że taka „Gerichtskretscham"(Gericht = sąd, Kretscham = karczma) musiała również tutaj istnieć. Być może jest to ten lokal, który wymienia się jako Waidmannslust, w którym serwowano m.in. kawę i piwo – prawdopodobnie pochodzące z browarów złotoryjskich, gdyż nie znaleziono wzmianki o istnieniu browaru w Sępowie (Waidmann = myśliwy, Lust = radość, rozrywka). W Sępowie wymieniana jest – bez bliższej lokalizacji – jeszcze jedna restauracja z miejscami noclegowymi, a więc rodzaj zajazdu (Gasthaus und Logierhaus).

PRZYBYLI Z RÓŻNYCH STRON

13 lutego 1945 roku do Sępowa wkroczyły wojska radzieckie. Już wcześniej część ludności ewakuowała się, lecz po podpisaniu kapitulacji przez Niemcy powróciła do swoich gospodarstw w Sępowie. W międzyczasie napłynęło już także część osadników polskich.

Najstarszym mieszkańcem wsi jest Leon Miakinik (90 lat). Przybył do Gajerówki jako osadnik wojskowy. Pan Leon również był pierwszym sołtysem wsi. Po nim kolejno byli: Michał Tomaszewicz, Stanisław Łukasiewicz, Jan Bochanowski, Roman Dzikuć, Krystyna Pawlak, Roman Dzikuć. Obecnie stanowisko to pełni Małgorzata Chudzik.

Osadnicy pochodzili z różnych stron. Wśród nich były osoby z Lubelszczyzny, z Olsztyńskiego, z Litwy, z Bieszczad. Była też tzw. grupa warszawska, w której skład wchodziły trzy rodziny. Mieli pięknie brzmiące nazwiska: Morawski, Wiśniewski, Wróblewski. Ludzie ci szukali swojego miejsca w nowej Polsce. Po kilku latach wyprowadzili się. Jednak najważniejszą grupę stanowili osadnicy wojskowi, którzy w nagrodę za waleczną postawę w czasie wojny otrzymali od rządu polskiego domy wraz z gospodarstwem rolnym. Gdy przybyli w te strony, mogli wybrać dowolny dom i dowolną ilość ziemi. Osadnikami wojskowymi byli: Leon Miakinik, Michał Tomaszewicz, Jan Bochanowski, Paweł Wojciukiewicz, Jan Galecki, Bernard Sajkowski.

Ciekawą postacią we wsi była Weronika Stelmachowicz. Znalazła się tutaj już przed II wojną światową; była sezonowym pracownikiem. Poznała w Sępowie Polaka. Z Adamem pobrali się i mieszkali w Sępowie do wybuchu wojny. Utrzymywali się z pracy u „Bauera". Mimo że Weronika była Polką, swoje dzieci posyłała do niemieckiej szkoły, a dwóch jej synów zostało wcielonych do Wehrmachtu. Obaj zginęli podczas działań wojennych. Po wojnie pani Stelmachowicz dostawała od rządu niemieckiego ekwiwalent pieniężny za utratę synów. Od czasu do czasu z Niemiec otrzymywała paczki żywnościowe. Po wyzwoleniu pozostała w Sępowie. Obecnie we wsi mieszka jej wnuk - Eugeniusz Stelmachowicz

Budownictwo

Po wojnie we wsi było 13 domów przedwojennych mieszkańców. Zostały one zajęte przez Polaków, którzy przybyli tu po wojnie. Długie lata nie były przez nich remontowane, bo uważali, że przybyli tu tylko na jakiś czas, bo wkrótce przyjdą Niemcy i to zabiorą. Remonty starych domów zaczęły się na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku.

Prawdziwą perełką architektury w naszej wsi jest dom szachulcowy (nr 9) z pierwszej połowy XIX wieku państwa Elżbiety i Waldemara Feńków, wpisany do rejestru zabytków przez Biuro Dokumentacji Zabytków w Legnicy. Obecnie budowla jest w znakomitym stanie dzięki dbałości właścicieli. Jedną ze starszych budowli jest dom nr 1 z zabytkową tablicą z roku 1687 (po łacinie), upamiętniającą zniszczenie wsi podczas wojny trzydziestoletniej. Obecnie we wsi jest 36 numerów, z tego 23 zupełnie nowych budowli. Większość nowych budynków zamieszkują ludzie spoza Sępowa.

fot. G. Staronka Szachulcowy dom nr 9 w Sępowie

Rolnictwo

Bezpośrednio po wojnie we wsi zawiązano spółdzielnię produkcyjną. Jej przewodniczącym został Stanisław Łukasiewicz. Profil spółdzielni to ogólna produkcja rolnicza. Ze zwierząt było około 60 krów wraz z cielętami i młodym bydłem, do tego 70 świń, 10 koni. Z roślin produkowane były buraki cukrowe i pastewne, pszenica, ziemniaki, owies, jęczmień. Spółdzielnia nasza należała do tych „pokazowych", była w pierwszej trójce najlepszych w powiecie złotoryjskim. Miała wysoką produkcję, przyjeżdżały tutaj wycieczki z innych spółdzielni, aby zobaczyć, jak można było dobrze gospodarować. W 1956 roku spółdzielnia została rozwiązana.

Z rolników we wsi pozostały dwie rodziny: Łukasiewiczów i Feńków. Rolnicy ci uprawiają ziemię i hodują zwierzęta. Reszta mieszkańców utrzymuje się z pracy w mieście bądź z emerytur.

Przemysł

Wieś zmieniła charakter z rolniczego na rolniczo - przemysłowy. Jest tu kilka zakładów dających zatrudnienie miejscowej ludności. Największym z nich jest Zakład Mięsny *Nalpol* Lucyny i Kazimierza Nalepków, który powstał w 1994 r. Zakład zatrudnia 50 pracowników z Sępowa i okolic. Profil zakładu to ubój żywca, produkcja wędlin i wyrobów wędliniarskich oraz ich sprzedaż. Zakład dysponuje dużą siecią sklepów na terenie regionu. Właściciel jest dumny z przeprowadzonej kosztownej modernizacji, dzięki której zakład spełnia obecnie surowe warunki unijne do produkcji i sprzedaży wyrobów mięsnych. W arkana sztuki wprowadził Kazimierza jego ojciec, Władysław Nalepka, długoletni prezes Gminnej Spółdzielni *Samopomoc Chłopska*. Pan Władysław do swoich ostatnich dni udzielał synowi cennych rad w rzeźnym fachu. Zmarł w 2005 roku, w wieku ponad 80 lat.

Zakład stolarski Andrzeja Bielki zatrudnia trzy

fot. G. Staronka Zakład Mięsny Nalpol

osoby, produkuje drewniane palety na kraj i eksport.

Edward Rygielski prowadzi firmę remontową trakcji kolejowych oraz buduje bocznice kolejowe dla Przedsiębiorstwa Górniczo - Produkcyjnego *Bazalt*. Zatrudnia 10 osób.

Andrzej Kuriata prowadzi firmę rodzinną *Anex*, która prowadzi roboty ogólnobudowlane, jest też producentem drewna kominkowego.

Kultura

Na szczególną uwagę w Sępowie zasługuje działalność świetlicy wiejskiej. Funkcjonuje ona od rozwiązania szkoły. Świetlica organizowała życie kulturalne miejscowości, zawsze tu tętniło życie. Były organizowane loterie podczas zabaw tanecznych, tutaj przychodzili sępowianie oglądać pierwsze audycje telewizyjne i seanse filmowe kina objazdowego. Koło organizowało doroczne dożynki, Dzień Kobiet, Dzień Dziecka, Dzień Matki, organizowało konkursy. Pomieszczenia świetlicy służą też do organizowania zebrań wiejskich. Budynek jest stale modernizowany. Obecnie posiada centralne ogrzewanie elektryczne, nowe okna i drzwi oraz nowiutką elewację. Dzięki wójtowi gminy (Marii Leśnej) świetlicę wyposażono w nowe meble, zastawę stołową na 50 osób, meble kuchenne i kuchnię gazową do podgrzewania potraw. Dzięki temu za niewielką opłatą mieszkańcy wsi mogą organizować przyjęcia rodzinne i zabawy okolicznościowe. Opiekunką świetlicy jest Małgorzata Chudzik.

Przez ponad 20 lat we wsi działało Koło Gospodyń Wiejskich. Pierwszą przewodniczącą była Cecylia Paszkowska, obecnie przewodniczy mu Anna Łukasiewicz. Z uwagi na brak zainteresowania mieszkańców działalność koła została zawieszona w 200 0 roku.

Religia

W naszej wsi nigdy nie było kościoła. W 1980 roku małżeństwo z Sępowa Maria i Władysław Kozdrasiowie ufundowali trzymetrowy krzyż, przy którym mieszkańcy mogli się modlić. Do tej pory w tym miejscu święcone są koszyczki wielkanocne. Postawienie go było wielkim świętem dla mieszkańców. Z władz kościelnych przyjechał z Legnicy ksiądz infułat, poświęcenia dokonał ksiądz prałat Marian Sobczyk. Obecnie krzyż stoi na posesji państwa Kozdrasiów.

Sępowianie chętnie dają datki na utrzymanie wystroju krzyża, które zbiera Celina Paszkowska, bo są dumni ze swojego krzyża - utrzymują go wzorowo.

SZKOŁA

W przedwojennym Sępowie nie było szkoły. Dzieci pobierały naukę w szkole filialnej Wilkowa w Krzeniowie (Taschenhof), a następnie w Nowym Kościele lub w Złotoryi.

W okresie powojennym prawie w każdej miejscowości zakładano szkołę. Był to wielki wysiłek państwa i całego narodu. W Sępowie nie stało się to od razu. Pierwsza szkoła, którą zorganizowała Jadwiga Skibińska, rozpoczęła działalność z dniem 1 września 1959, jako placówka niżej zorganizowana dla klas młodszych. Wkrótce jednak, po przeprowadzeniu niezbędnych remontów w samym budynku szkolnym (wymiana okien, drzwi, podłóg, odgrzybianie, malowanie), stała się wzorcową placówką tego stopnia organizacyjnego. W roku szkolnym 1964/65 w szkole był już telewizor, magnetofon, radio z adapterem, dwa rzutniki – obecnie ta wyliczanka może zdumiewać, ale w tym czasie był to wysoki standard. Od września 1969 dyrektorem zostaje Maria Wiącek. Następuje dalsza poprawa bazy – remont centralnego ogrzewania, reperacja dachu, odnowienie elewacji. Szkołę uznano za bogato wyposażoną i wiodącą w całokształcie pracy dydaktyczno-wychowawczej. Pozwalało to na organizowanie w tak małej miejscowości konferencji metodycznych dla nauczycieli nauczania początkowego z powiatu złotoryjskiego i lubińskiego. Przez dwa lata z rzędu (1968/69, 1969/70) szkoła w małym Sępowie wygrywała współzawodnictwo między szkołami w grupie szkół o stopniu organizacyjnym I – IV. Organizacyjnie szkoła od roku szkolnego 1969/70

Nauczycielka Jadwiga Skibińska na lekcji w szkole w Sępowie ok.1965 r.

jest filią Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi, a „na wniosek rodziców, decyzją Rady Pedagogicznej filię zlikwidowano z dniem 13 lutego 1974" – dzieci z Sępowa przyporządkowano do obwodu szkolnego Szkoły Podstawowej nr 3 w Złotoryi". Najwięcej uczniów było w szkole w roku szkolnym 1962/63-49; w pozostałych latach ok. 40, lecz nigdy nie mniej niż 36.

W budynku dawnej szkoły (posesja nr 13) funkcjonuje obecnie świetlica wiejska oraz zorganizowano mieszkania prywatne.

PANI JADWIGA I SMOCZEK ANI

W 1959 roku we wsi powstała czteroklasowa szkoła podstawowa. Uczyło się w niej około czterdzieściorga dzieci. Pierwszą nauczycielką była Jadwiga Skibińska, która na zawsze pozostanie w dobrej pamięci mieszkańców, wśród których cieszyła się ogromnym autorytetem. Pani Jadwiga była wyjątkowa. Kochała dzieci, które uczyła, każde doskonale znała, utrzymywała z nimi więź nie tylko podczas zajęć szkolnych, ale także poza lekcjami. Nie wahała się chodzić do ich domów, aby porozmawiać z rodzicami w przypadku problemów, które należało rozwiązać. Prowadziła dodatkowe zajęcia z uczniami, gdy należało ich podciągnąć w nauce. To była prawdziwa nauczycielka z powołania. Uczyła w naszej szkole do końca, to jest do likwidacji szkoły w 1971 roku. Zmarła 1 listopada 1995 roku.

fot. G.Staronka Najstarszy dom w Sępowie

Ze wzruszeniem wspomina Anna Łukasiewicz (z domu Marynowska):

Do śmierci nie zapomnę dotyku rąk Pani na moich ramionach. Byłam wtedy w pierwszej klasie. Pamiętam, że na jakiejś przerwie stałam w kącie, odwrócona plecami do wszystkich, ściskając obiema rękami swój, przyniesiony z domu smoczek. Ssałam go z zapamiętaniem. Był bardzo smaczny! Byłam małą, wystraszoną dziewczynką, która po raz pierwszy przyszła do szkoły. Wtedy Pani podeszła do mnie, położyła mi ręce na ramionach, odwróciła i przytuliła do siebie.

- Co ty, Aniu, tu robisz? Ktoś zrobił ci krzywdę?- spytała cicho i łagodnie.

Gdy zobaczyła, że mam smoczek, nie wyśmiała mnie, tylko spokojnie wytłumaczyła, że już jestem na to za duża i trzeba to przerwać. Po zajęciach w szkole poszła do mojej mamy na rozmowę i wyjaśniła, co należy zrobić, aby dziecko - czyli ja - przestało ssać smoczek. Przedmiot mojego wstydu został uroczyście, w obecności całej rodziny, wrzucony do ognia, aby się spalił. Zostało to przeprowadzone tak fachowo, z takim autorytetem, że mała Ania natychmiast zrozumiała, że nie należy ssać smoczka. Do dziś kocham moją Panią za to.

Opracowali:

Alfred Michler oraz mieszkanki Sępowa: Anna Łukasiewicz i Alina Chudzik przy pomocy Agnieszki Młyńczak (także autorki zdjęć).

Zdewastowana tablica informacyjna na tle odbudowanej już ławeczki przy ścieżce św. Jadwigi

Od radości do wstydu

Kiedy w roku 1987 wspólnie z grupą kolegów organizowałem TMZZ, zakładaliśmy, że będziemy pracować wokół wielkich postaci i przybliżać je mieszkańcom Ziemi Złotoryjskiej. I tak czynimy - bez względu na wyznanie czy narodowość tych postaci. Stąd ścieżka św. Jadwigi jako pomnik dla katolickiej świętej oraz pomnik V. Trozendorfa, wybitnego protestanta (niemieckiego Ślązaka). To, że ten akurat stoi tuż przy katolickiej świątyni, to z pewnością ewenement w skali światowej, o czym zapominają (lub nie wiedzą) przewodnicy spoza Złotoryi, a i złotoryjscy „zapominają" podkreślić ten element, który bardzo pozytywnie świadczy o współczesnej Złotoryi. To powód do dumy i radości.

Kiedy w latach 1997-98 z młodzieżą SP-3 oraz dwujęzycznych klas LO wielokrotnie przemierzałem trasę obecnej ścieżki św. Jadwigi w celu możliwie najwierniejszego zbliżenia się do średniowiecznej prościeżki – towarzyszyło nam odczucie, jakbyśmy się zbliżyli do tej postaci sprzed 750 lat, a zarazem tworzyli coś nowego. 10 lat temu nigdzie w Polsce takiej ścieżki z kamieniami medytacji jeszcze nie było. Dopiero po nas, „wzorując" się na Złotoryi, ścieżkę taką otworzył Wleń (2005), a następnie Trzebnica (2007). To powód do dumy i radości.

Kiedy w trakcie uroczystości otwarcia ścieżki złotoryjskiej (14 X 2001) prezes TMZZ, Aleksander Borys stwierdził, że „jest to ścieżka nie tylko TMZZ, lecz jest ona ścieżką wszystkich złotoryjan, wszystkich mieszkańców Ziemi Złotoryjskiej" – byłem przekonany, iż tak właśnie się stanie. Nie każdy musi czcić św. Jadwigę. Nie każdy musi akceptować działania TMZZ. Ale nawet najuboższego duchem powinno na to stać , żeby – jeśli już sam niczego zrobić nie chce - przynajmniej nie niszczyć czyjejś pracy – w tym przypadku dodatkowo burmistrza Jerzego Kluza, wójt Marii Leśnej, prezesa Tadeusza Paliszkiewicza oraz reprezentowanych przez nich pracowników i instytucji. Bo ta współpraca to także był powód do dumy i radości.

Kiedy trzy lata później (w r. 2004) polska młodzież ze Złotoryi i Trzebnicy oraz czeska z Mimonia i niemiecka z Dorfen (z Bawarii – kraju urodzenia Jadwigi) posadziła wzdłuż ścieżki 28 „drzewek pojednania i przyjaźni", a następnie nadała im imiona i „ochrzciła" te drzewka – ścieżka ożyła, gdyż stały na niej już nie tylko nieme głazy, lecz także żywe „drzewka – ludzie". To powód do dumy i radości.

Kiedy w roku 2006 rodzina Ceterów ufundowała gustowne ławki z piaskowca, wszyscy byliśmy ucieszeni ubogaceniem ścieżki – miały służyć pogłębionej medytacji strudzonych turystów. To był powód do radości.

Kiedy zauważyłem pierwsze połamane drzewka i zerwane tabliczki, uznałem to za wygłup lub to, że jakiś „drobny pijaczek" musiał parę groszy zdobyć w składzie złomu. To powód pierwszego niepokoju.

Kiedy jednak nastąpiły większe zniszczenia na Wzgórzu Zamkowym w Rokitnicy oraz w Prusicach, z prawie równoczesnym podpaleniem skansenu w Leszczynie oraz kradzieże w okolicznych wioskach – stało się jasne, że sprawcy rosną równolegle z naszymi drzewkami, a nawet szybciej. Zwróciliśmy się wówczas do szkół, sołtysów, parafii oraz złotoryjskiej policji. Od tej ostatniej oczekiwaliśmy, że w formie rutynowego typowania, udostępni nam listę potencjalnych młodzieńców, z którymi chcieliśmy nawiązać kontakt. Nie otrzymaliśmy takowej. To powód do dużego niepokoju.

Kiedy w połowie czerwca 2009 TVP Wrocław przygotowywała audycję o Gminie Złotoryja, materiał o ścieżce zamierzaliśmy nakręcić przy IV kamieniu na Kopaczu. Szczęście, że zjawiliśmy się w tym miejscu przed ekipą telewizyjną i zdołaliśmy ją skierować do kamienia VI, gdyż tablicę przy kamieniu IV, stojącą przy krzyżu w środku wsi (!), jakiś niedobry młodzieniec też już zaczął intensywnie dewastować. To wstyd, który częściowo udało nam się ukryć i uniknęliśmy żenującego rozgłosu.

Kiedy używam wyrażenia „młodzieńcy", czynię tak niebezpodstawnie. Czynię tak po wielu obserwacjach i analizie. Dwóch tablic oraz litej ławki z piaskowca nie roztrzaskało dziecko – do tego trzeba było sporo alkoholu, dużo siły sporego osiłka i bardzo dużo złej woli. Nie trzeba żadnego wychowania, wrażliwości i kultury osobistej. Wandale – to nieokrzesane plemię germańskie, które bezmyślnie zburzyło Rzym. To już wstyd.

Kiedy miałbym wskazać tych „naszych" współczesnych barbarzyńskich wandali, to musiałbym zajrzeć do księgi chrztu kościoła w Rokitnicy i Prusicach, gdzie zostali ochrzczeni, przystąpili tam pewnie do Pierwszej Komunii Świętej, „modlą" się teraz w tym samym rokitnickim kościele co św. Jadwiga lub w kościele w Prusicach, któremu ta katolicka święta patronuje. Nie mam też pewności, czy wśród tych, którzy tak licznie, pięknie i uroczyście uczestniczyli w otwarciu ścieżki (z jakiś powodów), nie ma takich osób, które kilka lat później, kiedy przybyło im sił, lecz nie rozwagi – zaczęli ją dewastować. Dlaczego? Niszczycielski szlak naszych katolickich dzieci zaczyna się najczęściej na kaczawskim „zalewie", między Kopaczem a Rokitnicą, gdzie po zażyciu kąpieli zewnętrznej i„ wewnętrznej" następuje „triumfalny" powrót do domu w Kopaczu, Kozowie, Rokitnicy, Prusicach. To już wstyd i prawie świętokradztwo.

Kiedy wymieniam te właśnie miejscowości, towarzyszy mi autentyczny wewnętrzny ból i rozterka, gdyż znam prawie wszystkich mieszkańców tych wsi (włącznie z młodym pokoleniem), znam ich cenne inicjatywy społeczne i dlatego wydaje się to niespójne! A jednak, niestety mam rację. Nie myślę zresztą o wszystkich młodzieńcach tych wiosek – to byłby absurd. Ja sprawców nie znam, lecz nie wierzę, że nie znają ich mieszkańcy lub „dzielnicowy". To prośba o pomoc i reakcję.

Kiedy uzmysłowimy sobie, że złotoryjska ścieżka jest pierwszą w Polsce, a później powstały w naszym kraju jeszcze tylko dwie, a wzbogaconej „ochrzczonymi" drzewkami nie ma w całej Europie – to powinniśmy się tylko cieszyć. To powód do dumy i radości.

Kiedy o tym myślę i piszę, czuję się zażenowany, bo oto dzieło młodych katolików z trzech krajów jest niszczone przez ich polskich rówieśników – najpewniej także katolików. To przejaw nieprzyzwoicie prostackiego zachowania. To wielki wstyd, a tłumaczenie takiego postępowania jakimikolwiek okolicznościami byłoby wstydem jeszcze większym.

Kiedyś można byłoby całą winą obarczyć „komunę" i wyjaśnić jej wrogim stosunkiem do kościoła katolickiego. Zarówno w przeszłości (nawet tej najodleglejszej), jak i teraz, wszystko zależy od wychowania w rodzinie. Ale porażkę poniósł też kościół, także szkoła, także TMZZ i osobiście ja, który z przesłaniem tej ścieżki utożsamiam się całkowicie. Może idei tej ścieżki nie wyjaśniliśmy dostatecznie. Zaczynę od siebie i w okresie jesiennym (po pracach polowych) wproszę się do każdej świetlicy wiejskiej, ażeby porozmawiać z mieszkańcami o przeszłości i dniu dzisiejszym ich miejscowości. Każdy młody człowiek zostanie osobiście zaproszony. To próba nawiązania dialogu. Mimo wszystko.

Alfred Michler

Zapraszamy

11 września 2009 r., godz. 17.00: otwarcie wystawy rakiet tenisowych z kolekcji Adama Tatki (TMZZ)
12 września 2009r., godz. 10.00: Odczyt pt. Zamki, grody i twierdze Ziemi Złotoryjskiej (TMZZ) – w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa
12 września 2009r., godz. 11.00, zbiórka przed Domem Nauczyciela „Bacalarus", powrót ok. 12.30: Wycieczka piesza W poszukiwaniu zamku w Złotoryi (EDD)
12 września 2009r.: III Rajd Czterech Świątyń Jadwiżańskich Złotoryja-Sokołowiec (rowerowy)
13 września 2009r., godz. 9.00, zbiórka przed kościołem św. Jadwigi w Złotoryi, powrót ok. 14.00: wycieczka rowerowa Średniowieczne grodzisko w Rzymówce (zwiedzanie grodziska, ognisko) – EDD
18 września 2009r.: VIII Powiatowy Dzień Regionalisty –Jerzmanice Zdrój (Szkoła Podstawowa)
19 września 2009, godz. 9.00, zbiórka na pl. W. Reymonta w Złotoryi pod Basztą Kowalską, powrót ok. 16.00: wycieczka rowerowa Zamek Piastów legnickich w Grodźcu i jego losy (zwiedzanie zamku, biesiada) – EDD
20 września 2009, godz. 9.00, zbiórka przed kościołem św. Mikołaja w Złotoryi, powrót ok. 13.00: Wycieczka rowerowa Ruiny zamku w Rokitnicy (zwiedzanie zabytku, ognisko) – EDD
26-27 września 2009r.: przejście Drogą św. Jakuba z Legnicy do Lwówka (nocleg w Złotoryi)
9 października 2009r.: Międzynarodowa Sesja Popularnonaukowa „Wilkołak (Wilcza Góra) – geologia-przyroda-historia" (ZOKiR)
10 października 2009r.: XII Rajd Jadwiżański (pieszy) Złotoryja-Rokitnica
Wrzesień-październik 2009r.: Konkurs „Wilkołak (Wilcza Góra) – geologia-przyroda-historia" (dla uczniów i dorosłych)
Listopad 2009r.: otwarcie wystawy fotografii Joanny Koszałkowskiej (TMZZ)
Szczegóły w następnych numerach Echa, na stronie internetowej lub w siedzibie TMZZ.

Panorama Gminy Złotoryja - Wilków - uzupełnienie

Nie z winy redakcji do nazwisk przewodniczących Rady Osiedla wkradły się nieścisłości i luki – kolejnymi szefami osiedla byli:
Pierwszym: Aleksander Kazimierczak (brakowało imienia)
Drugim: Zdzisław Zenter (a nie Zbigniew Center)
Czwartym: Stanisław Dacka (jest Pacha)
Współautorem opracowania o Wilkowie była też Ewa Biała.
Szkoła , którą oddano do użytku w Wilkowie – Osiedlu, w roku 1940, miała osiemnaście, a nie osiem pomieszczeń.

Podążając drogą królewską

O Drodze św. Jakuba mogliśmy nie raz przeczytać w „Echu Złotoryi" (marzec, sierpień, grudzień 2008 oraz maj, czerwiec 2009). Warto jednak przypomnieć kilka istotnych i godnych uwagi informacji. Już od kilkunastu lat w krajach Europy wytyczane są piesze, jak również rowerowe szlaki imienia św. Jakuba - patrona wędrowców, pielgrzymów i podróżujących. Wędrówka odbywa się często przed dniem święta Jakuba, a więc przed 25 lipca. I jest nie tyle pokonywaniem jakiejś określonej trasy czy liczby kilometrów, a drogą posiadającą konkretny kierunek i sens. Udział w niej może wziąć każdy, niezależnie od wieku, czego przykładem jest tegoroczne pielgrzymowanie. Drogą podąża się samotnie lub w niewielkich grupach. Znakiem rozpoznawczym jest żółta muszla Jakuba występująca na granatowym tle, przyklejana lub malowana na trasie szlaków. Symbolizuje ona pielgrzymowanie oraz wędrówkę z domu do Domu.

Niektórzy zapewne zastanawiają się, dlaczego warto brać udział w takim spotkaniu. Otóż korzyści jest wiele. Sam fakt, iż możemy choć na chwilę oderwać się od otaczającej nas codzienności i wtopić się w łono natury, przyprawia już o uśmiech na twarzy. Jest to czas, kiedy możemy popatrzeć na znane nam i otaczające nas okolice z zupełnie innej, głębszej perspektywy. Udział w wędrówce to okazja, by „stanąć na chwilę" i zastanowić się nad swoim życiem. Zwiedzanie, duchowe przeżycia, nawiązywanie nowych kontaktów i wzbogacanie się o wiedzę na temat zabytków - to już kolejne zalety udziału w Drodze Jakuba.

W tym roku członkowie i sympatycy Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej wyruszyli na pielgrzymkę w dniu 25 lipca. Uczestnicy zebrali się w Jerzmanicach Zdroju, w kościele św. Antoniego. Drogę rozpoczęto Mszą Świętą, która odbyła się o godz. 9.00. Ksiądz Wojciech Kempski życzył wytrwałości oraz pobłogosławił pielgrzymów i słowami „Barki" zakończyliśmy nabożeństwo.

Chwilę przed rozpoczęciem wędrówki Roman Gorzkowski udzielił najważniejszych wskazówek, przedstawił trasę i motywując nas do drogi, zacytował fragment wiersza J. Tuwima „Pokaż się z daleka".

„Pokaż się z daleka
Choćby z najdalszego,
(Choćby - o sto kroków...) –
Jakoś się dowlokę,
Widmo i kaleka,
Do witania twego!
Pokaż się! Dopełznę
Przez ten bezmiar ziemi,
Trawy się czepiając,
Wiatru i kamieni.
Dale wy bezbrzeżne!
Dale niebosiężne!
Krzyczeć będę z trwogi,
Modlić się śród drogi,
Konać – a dopełznę!..."

Gdy wychodziliśmy z kościoła, spotkała nas niezbyt miła niespodzianka, a mianowicie deszcz. Prawdę mówiąc, nikt się go nie wystraszył, bo przecież „w zdrowym ciele zdrowy duch". Z Jerzmanic- Zdroju wyruszyliśmy w składzie 19 osób. Przedział wiekowy był urozmaicony. Swoją obecnością w Drodze św. Jakuba zaszczycił nas prezes TMZZ, Aleksander Borys.

Droga do Pielgrzymki była „mokra", ale i malownicza. Pomimo pogody niezwykle okolice Jerzmanic Zdroju, jakich, szczerze mówiąc, nie dostrzegłam wcześniej od tak wnikliwej strony, oraz otaczająca nas zieleń sprawiały, że atmosfera robiła

się nieco tajemnicza i zarazem dodająca chęci na dalszą wędrówkę. Widok Świątka nad Twardocicami również zachwycał nasze oczy. Gdy doszliśmy do Pielgrzymki, najpierw zatrzymaliśmy się na cmentarzu przy pomniku poległych w czasie I wojny światowej. Były to pomniki powszechnie stawiane wówczas na Śląsku. Osoby bardziej zainteresowane tym obiektem mogły uzyskać wskazówki, zadając pytania R. Gorzkowskiemu, który chętnie na wszystkie odpowiadał. Następnie proboszcz ks. Franciszek Wróbel otworzył nam kościół św. Jana Nepomucena, który prawdopodobnie był dawniej pod wezwaniem św. Jakuba. Tam zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę, by poznać historię kościoła. Wnętrze kościoła wzbudziło w nas zachwyt.

Gdy już zdążyliśmy choć trochę wyschnąć, wyruszyliśmy z Pielgrzymki do Twardocic, gdzie w drodze zmokliśmy po raz kolejny. W międzyczasie robiliśmy zdjęcia, by upamiętnić naszą wyprawę.

Mijając po drodze znaki muszli, z uwagą słuchaliśmy opowieści i wspomnień osób, które podzielić się chciały swoimi wrażeniami z innych pielgrzymek czy też z udziału w Drodze św. Jakuba w ubiegłym roku. W Twardocicach przystanęliśmy przy ruinach kościoła ewangelickiego, które naprawdę robią ogromne wrażenie. Tutaj również nasz przewodnik zapoznał nas z historią tego kościoła, jak również z najważniejszymi informacjami dotyczącymi ruin. Kościół powstał w latach 1701-1727. Był jednym z największych na Śląsku, a mieścił 2400 miejsc siedzących.

Po chwili przerwy na zaspokojenie głodu, jak również pragnienia ruszyliśmy w dalszą drogę. Dotarliśmy do Rochowa, a tam przy krzyżu pokutnym, w pobliżu granicy powiatu opuściliśmy drogę i podążyliśmy w kierunku Świątka. Nagrodą za wytrwałość był widok Złotoryjskiego Lasu. Z oddali był już widoczny i nie pozwalał oderwać od siebie oczu. Piękny krajobraz rozciągał się przed nami. Promienie słońca w końcu zaczęły wędrować po naszych twarzach i dodając siły, wprawiły nas w wyśmienity nastrój. Droga stawała się coraz przyjemniejsza i lżejsza. Wchodząc w głąb lasu, czuć było przepiękny zapach szyszek i roślinności leśnej. Takiej chwili relaksu chyba każdemu było potrzeba.

Należy wspomnieć, iż las obejmuje około 1100 hektarów. Mieszkańcy lasu to przede wszystkim dziki, sarny i jelenie. Niestety, nie udało nam się spotkać żadnego z nich. Kilku odważnych prawie weszło na bazaltowy stożek wulkaniczny, zwany Świątkiem (330m.n.p.m) i tam, na jego szczycie mogli rozkoszować się piękną panoramą. W lesie przystanęliśmy także przy jednym z kamiennych krzyży. Najczęściej zabójcy wznosili je w miejscu, w którym dokonali morderstwa. Zwyczaj ten przywędrował do Polski z zachodu i utrzymał się od XIII w. do połowy XIX. Na terenie naszego kraju znajduje się ich ok. 600, zaś w Europie ok. 7000. Pomimo błota i mokrej powierzchni przeszliśmy przez las bez problemu.

Po wyjściu z lasu szliśmy już drogą asfaltową i tak doszliśmy do Choińca. Zakończyliśmy wędrówkę w składzie 16 osób. Prawdę mówiąc, nie byliśmy tak skonani, jak wynikało z wiersza, nie potrzebowaliśmy wspierać się o kamienie, ale przyznać trzeba – motywacja była odpowiednia. Zadowoleni i dumni z siebie przystanęliśmy przy Leśnictwie. Tam czekał na nas bus, który został zamówiony przez TMZZ. Przed odjazdem spotkała nas jeszcze miła niespodzianka: otrzymaliśmy ulotki na temat Drogi oraz po symbolicznej muszelce. Nie było osoby, która nie odwdzięczyłaby się uśmiechem za tak miły gest. Muszelka z pewnością będzie nam przypominać o wędrówce, ludziach z nią związanych, trudzie i wysiłku, a także zawsze przed 25 lipca o uczestnictwie w Drodze św. Jakuba.

Do zobaczenia za rok!
Monika Ziębora
zdjęcia Piotr Iwanowski

W okopach I wojny

Do wojny szykowała się Europa bez mała ćwierć wieku. 28 czerwca 1914 r. doszło do zamachu w Sarajewie, a miesiąc później Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. O wybuchu konfliktu dowiedziano się w mieście już 28 lipca (wtorek) 1914 r. Dziennikarz lokalnego czasopisma relacjonował, iż *także w Złotoryi rośnie zainteresowanie sprawami wojny. Już w sobotę czytelnicy odwiedzali redakcję, aby usłyszeć*

najnowsze wydarzenia z politycznego nieba, a roznosiciele prasy mieli pełne ręce roboty. Po ogłoszeniu mobilizacji zgłaszali się ochotnicy: 8 sierpnia było ich już 85. Przyjmował ich m.in. 7 Pułk Grenadierów im. Króla Wilhelma I w Legnicy (o złotoryjskim garnizonie pisaliśmy w Echu w sierpniu ub.r.).

Rekruci kierowani byli m.in. do obozu treningowego Warthelager, znajdującego się w pobliżu wielkopolskich miejscowości Murowana Goślina i Owińsk. Później trafili do ponad 90 różnych jednostek, najliczniej zapewne do 7 Pułku Piechoty, bijącego się na froncie wschodnim i zachodnim, a dokładniej w Belgii, Wielkopolsce, na Kielecczyźnie i nad Dnieprem. Wśród poległych żołnierzy tej jednostki było 14 złotoryjan. O czterech mniej stracił legnicki 7 Pułk Grenadierów, walczący w Belgii i Francji, m.in. pod Verdun. Liczba powołanych do wojska z naszego miasta mogła sięgnąć 500-700 osób. Gustaw Kindler wspominał: *Zostałem żołnierzem w 1918 r. w wieku 18 lat. Dostałem połatany mundur, dwie pary obuwia i maskę przeciwgazową na jednej papierowej taśmie. Wyżywienie było wystarczające, jednak w zupie często były robaki. Otrzymywałem paczki z domu, także u polskiego piekarza można było kupić spod lady od czasu do czasu chleb (stacjonowaliśmy w prowincji poznańskiej). Polacy nie robili go dokładnie zgodnie z pruskimi przepisami i każdego południa podczas wykonywania rozkazów przewracało się kilku kolegów.*

Złotoryjanie służyli przede wszystkim w piechocie, lotnictwie, artylerii oraz kawalerii. Byli także sanitariuszami, szoferami, piekarzami i mechanikami. Około 50 osób dosłużyło się stopni wyższych niż szeregowy. Niektórzy trafili do tych samych jednostek. Było im zapewne raźniej, lecz można było spodziewać się i takich rezultatów: 18 grudnia 1914 r. pod Krasocinem zginęło dwóch złotoryjan z tego samego pułku; analogiczna sytuacja powtórzyła się 8 marca 1915 r. pod Łopusznem.

Nadchodząca z frontu zachodniego korespondencja zaczęła pojawiać się w tutejszej prasie od sierpnia 1914 r. Sierżant piechoty, stacjonujący gdzieś przy granicy francuskiej, pisał: *Zapał jest wielki, wszyscy są pewni zwycięstwa, humoru też nie brakuje, wyżywienie znakomite. Dzisiaj na obiad mieliśmy naszpikowanych słoniną Francuzów, a na kolację marynowanych Anglików.* W listopadzie 1914 r. list z Francji wysłał Albert Kunze: *Już długo leżymy we wsi H., która jest podobna do Wilkowa.* […]*Śpimy i mieszkamy z końmi, wylegujemy się też na łące pod wsią. Nasza artyleria mówi Francuzom „Dobranoc”.* […]*Kwateruję w szkole. Zdobycie piwa nie było takie łatwe. O godz. 11 gaszą światło.* Czyli sielanka, choć można już zapytać o powody tak „długiego” postoju. Prawdziwy obraz krwawych jatek przekazywany był przez żołnierzy na przepustkach, ale o tym nie można było głośno mówić.

Ciekawszy jest list złotoryjanina, relacjonującego walki nad Marną w 1914 r.: *ST. Martin 1 października. Ostatnie rzeczy i trzy gazety* [tu przy okazji dowód, że złotoryjska prasa docierała na front] *otrzymałem 28 września. Papierosy są u nas poszukiwanym artykułem. Zapłaciłem już za sztukę 1 markę. ...Stoczyliśmy tak wiele potyczek.*

Chrzest bojowy mieliśmy 15 sierpnia pod Dinant, gdzie 3 i pół godziny staliśmy w ogniu artylerii. Był to zły początek, ale mimo to osiągnęliśmy swój cel....Leżałem z kilkoma kolegami na polu buraczanym, gdy otrzymaliśmy ogień od tyłu. To byli partyzanci, ojciec i syn. W pół godziny schwytaliśmy świnie, a dwie minuty później pozbawiliśmy ich życia. Takie przypadki zdarzają się częściej, ogień dostajemy nawet z drzew. 28 sierpnia zostaliśmy zaskoczeni w nocy. Była to nieprzyjemna sytuacja, straciliśmy wówczas pierwszych dwóch poległych i trzech rannych, jak też 11 koni. 9 września stoczyliśmy bój nad rzeką Marną, co chciałbym krótko opisać. Francuzi znajdowali się w odwrocie, my staliśmy na lewym brzegu. Wtedy doliną nadeszła jedna brygada francuskiej piechoty i dwa szwadrony kirasjerów. Maszerowały spokojnie, a my pozwoliliśmy im podejść na około 3 km. Wówczas otworzyliśmy ogień – tego widoku w życiu nie zapomnę. Nieprzyjacielskie odwody, które stały we wsi, uciekając, wysadziły za sobą most. Piechota i kirasjerzy, będący jeszcze na naszej stronie, nie zauważyły w kurzu, że most został zniszczony i rzuciły się do wody, która zabarwiła się na czerwono, co przedstawiało okropny widok. Z drogi, którą przeszła piechota, musieliśmy najpierw usunąć zwłoki, aby posunąć się dalej. 11 września był smutnym dla nas dniem, znowu zostaliśmy zaatakowani – gdy wychodziliśmy z lasu, dostaliśmy straszny ogień. Stawiliśmy dzielny opór, ale trafiliśmy na o wiele silniejszego przeciwnika i musieliśmy się wycofać. […]*Chcę zaznaczyć, że byliśmy już 25 km od Paryża.*

W listopadzie 1914 r. otworzono lazaret w budynkach uzdrowiska w Jerzmanicach Zdroju. W 1916 r. dysponował ponad 90 łóżkami, oprócz tego w pałacu we wsi wyszykowano dalsze cztery. Obliczano, iż tylko w tym roku lazaret dał opiekę 700 żołnierzom. Do dyspozycji mieli bibliotekę, gramofon, pianino, bilard oraz malowniczy park uzdrowiskowy. Odbywały się koncerty muzyczne z występami chórów i kapeli garnizonowej. Opiekujący się szpitalem Ojczyźniany Związek Kobiet wielokrotnie organizował zbiórki: przekazywano, np. papierosy, tytoń, wino, czekoladę, kawę, książki, sztućce, herbatę, obrazy, owoce, wędlinę i mięso (do czasu), odzież, pieniądze, pocztówki, papier listowy. Pieniądze płynęły z Czerwonego Krzyża, pomagał hrabia von Dirksen z zamku w Grodźcu, zakonnice i wolontariusze. Ozdrowieńcy wracali do domów lub na front.

Organizacje społeczne ciągle ogłaszały w prasie kolejne apele, oczekując m.in. na ołówki, szczotki do włosów, szaliki, ciepłe rękawice, czapki, koszule, szelki, notatniki, nauszniki, czekoladę, tytoń, kalesony, cygara, papierosy, mydła, pantofle, sztućce, papier. Związek Kobiet w 1916 r. wysłał żołnierzom na frontach 12 tys. sztuk ciepłej odzieży, tytoń i papierosy oraz paczki bożonarodzeniowe dla 4496 żołnierzy, także jeńcom w niewoli angielskiej. Kupiec Kreutz postawił do dyspozycji władz wojskowych swojego psa, który został wytresowany na sanitarnego, aby przydał się na froncie rosyjskim. W 1914 r. pierwsi złotoryjanie otrzymali Żelazne Krzyże za walki we Francji i Rosji, później, np. porucznik Classe, w cywilu nauczyciel w szkole fundacji Schwabe-Priesemuth, oraz kleryk W. Guhl (brat zasłużonego dla miasta pastora Friedricha Guhla), który ochotniczo wstąpił do batalionu strzelców.

Wojenne losy rzucały złotoryjan w różne miejsca. Ktoś, jako muzyk w batalionie Obrony Krajowej, trafił do Grodna, komisarza policji Pielscha skierowano do Częstochowy, natomiast córka starosty, hrabianka Gisela von Rotkirch-Trach, pracowała jako zastępczyni kierowniczki w domu dla żołnierzy w Warszawie.

Dla wielu złotoryjan wojna zakończyła się tragicznie. Służby frontowe, mając pełne ręce pracy, nadsyłały do Urzędu Stanu Cywilnego zawiadomienia o zgonach z opóźnieniem sięgającym niekiedy wielu miesięcy. Polegli w 1914 r. byli wpisywani aż do 1921 r. Rodziny przez kilka lat nie znały losów swych bliskich. O pierwszych

ofiarach – rannych, zaginionych lub poległych – dowiedziano się w mieście we wrześniu 1914 r. Na początku wojny ciężką ranę odniósł, np. współwłaściciel fabryki papierosów marki „Trozendorf” podporucznik rezerwy Brunon Pladeck. Po rekonwalescencji, już jako kawaler Żelaznego Krzyża, wrócił na front i poległ w 1916 r. Doktor filozofii, nauczyciel gimnazjum Julius Schwede, odznaczony Krzyżem Żelaznym, poległ w randze podporucznika pod Verdun w 1916 r., właściciel browaru Oswald Neumann w 1914 r. we Francji, a wspomniany wyżej seminarzysta Guhl w 1915 r. zmarł w lazarecie. Wszyscy ginęli „po bohatersku”, „za Ojczyznę”, „według Bożej woli”, „na polu chwały”, jak podawały rodziny w nekrologach. Kronikarz miasta podkreślał tragedię rodziny Helmchen: w 1915 r. ich syn Günther wstąpił ochotniczo do wojska, otrzymał Żelazny Krzyż, ale wkrótce potem, w wyniku eksplozji, stracił jedno oko i oślepł na drugie, powiększając grono tutejszych młodych wojennych inwalidów.

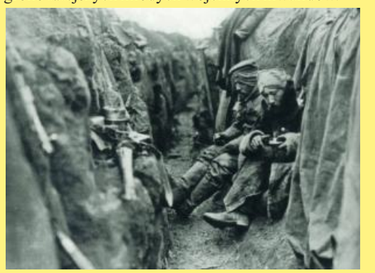

W 1914 r. poniosło śmierć 24 złotoryjan. Najczarniejsze były miesiące listopad i grudzień, gdy śmierć zabrała po siedmiu żołnierzy. Sześciu poległo na ziemiach polskich: w Kieleckiem (pod Krasocinem k. Włoszczowej), w Kaliskiem (Sośnica), Łódzkiem (Lewin), na Mazowszu (Wola Szydłowiecka k. Żyrardowa) oraz w Wielkopolsce (Tarnówka). Pięciu poległo we Francji (wśród nich trzech w rejonie Verdun), trzech w Belgii, jeden na Ukrainie, jeden w Prusach Wschodnich. W 1915 r. poległo lub zmarło z ran 53 złotoryjan. Na ziemiach polskich (Mazowsze, m.in. w walkach o Warszawę i twierdzę Modlin, Małopolska, Kieleckie, Łódzkie, Podlasie, Wielkopolska - nad Baryczą) zginęły lub zmarły aż 24 osoby. Pięciu zmarło w lazaretach na ziemiach polskich, m.in. w Warszawie. Poza tym znowu kilku pod Verdun, w Belgii i Rosji. W 1916 r. poległo lub zmarło 33 mieszkańców Złotoryi. Koło Krosna i Bartoszyc poległo dwóch, we Francji, m.in. pod Verdun i nad Sommą, śmierć poniosło 12 osób, inne poległy w Rosji, na Polesiu, Wołyniu, w Rumunii i Siedmiogrodzie. Kilku zmarło na terenie ówczesnych Niemiec – w lazaretach, m.in. w Głogowie, lecz także w legnickiej kantynie w niewyjaśnionych okolicznościach, a 1 znaleziono martwego we frankfurckim ogrodzie zoologicznym. W następnym roku wojny (1917) straciło życie 27 tutejszych żołnierzy. Tym razem żaden na terytoriach polskich, lecz za to we Francji, Belgii, na Litwie (koło Krewa), w Siedmiogrodzie i Kurlandii. Ostatni rok wojny (1918) kosztował życie 44 złotoryjan: zginęli we Francji, Belgii, Alzacji, Rosji (koło Kijowa), umierali w lazaretach w Niemczech (w Złotoryi i Legnicy), na Litwie i Kurlandii. Jeszcze w 1919 r. zmarły dwie osoby w lazaretach we Francji i w Niemczech. Niektórych miejsc zgonu nie da się dokładnie ustalić.

Podsumowując, podczas wojny straciło życie 185 złotoryjan, najwięcej w 1915 oraz 1918 r. Mieli od 18 do 51 lat, średnio nieco ponad 27, kilku dopiero co ukończyło 18-19 lat. W większości nie mieli jeszcze rodzin, lecz wielu z nich pozostawiło żony i dzieci. Tylko w pięciu miesiącach wojny nie poległ lub zmarł żaden tutejszy żołnierz. Były to dotkliwe straty dla tak niewielkiego miasteczka. Mimo propagandy, sens wszystkich tych śmierci budził coraz większą dyskusję. Czy jednak złotoryjanie wyciągnęli wnioski z okrutnej wojny? Wydaje się, że czuli się raczej, jak zresztą większość Niemców, bardziej pokrzywdzeni przez zwycięzców niż winni tej hekatomby. Te nastroje świetnie wykorzystają faszyści.

Z iglicy małej wieży kościoła Mariackiego spogląda na miasto wiatrowskaz z datami 1914–1916, we wnętrzu świątyni istnieją malowidła i witraże z tamtych lat. Dzięki odkryciu właśnie podczas I wojny studni kościelnej, udało się ją w latach 1998–1999 z inicjatywy TMZZ na stałe otworzyć i otoczyć balustradą. Zarośla Góry Mieszczańskiej kryją pozostałości pomnika (patrz il.) ku czci poległych złotoryjan. Kolekcjonerzy przechowują ówczesne widokówki, zastępcze pieniądze i kronikę.

Roman Gorzkowski

Pomnik ku czci poległych złotoryjan na Górce Mieszczańskiej

Warto przeczytać

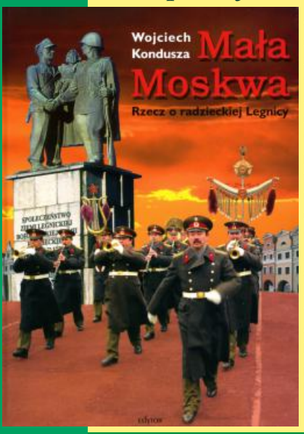

Wprawdzie książka nie traktuje tym razem o ziemi złotoryjskiej, ale o jej najbliższym sąsiedztwie, czyli Legnicy, warta jest jednak polecenia w tym miejscu. Przez 48 lat tuż za miedzą stacjonowali żołnierze rosyjscy, którzy wraz obsługą cywilną i swoimi rodzinami tworzyli drugie miasto - miasto zupełnie odrębne, ale silnie przenikające i wywierające na polską część niebagatelny wpływ. Jak układały się stosunki polsko-radzieckie, co robili Rosjanie, jak ich postrzegano, jak wreszcie wyglądała sprawa wyprowadzenia wojsk z naszego regionu? O tym traktuje książka Wojciecha Konduszy wydana w 2006 roku przez Wydawnictwo Edytor w Legnicy. Znajdują się w niej również wątki nam bliższe: jest rozdział pt. „Sabadach – radziecka wysepka za Bugiem” a także omówienie sprawy znalezionych na plebani w Pielgrzymce dzieł sztuki oraz wyposażenia, wyszabrowanego z „Domu Prijoma” w czasie ewakuacji wojska. Książka ciekawa od strony historycznej, szkoda tylko, że autor mniej uwagi poświęcił historii od 1945 do 1990 a bardziej przyłożył się do sprawy wycofywania się Rosjan z Legnicy.

Robert Pawłowski

Na plantach

Złotoryjskie planty przeżyły w ciągu ostatnich kilkuset lat niejedno przeobrażenie. Od XVIII wieku, np. zasypywano tutaj miejską fosę, aby postawić na niej choćby pocztę, w XIX wieku były świadkiem rozbiórki ogromnych fragmentów „niepotrzebnych” murów obronnych, po ostatniej wojnie, głównie przy ul. Stanisława Staszica. usunięto wiele budynków i pomnik Friedricha Jahna. W 1998 r. zniknęła stąd kapliczka słupowa, przeniesiona w inne miejsce, w 2000 r. stanął Krzyż Milenijny.

Od kilku lat nie ustają tutaj prace rewitalizacyjne. Gdy zostaną zakończone, warto będzie porównać ich efekty ze stanem sprzed kilkudziesięciu lat. Barwna widokówka (fotografia K. Kaczyńskiego) pokazuje fragment ul. S. Staszica w 1968 r., a czarno-biała (fot. J. Osuchowski) w 1970 r. Przy okazji warto przypomnieć, iż kamienna bramka w murach obronnych (widokówka z 1970 r.) powstała w 1919 r.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Tak wracał wolny rynek

Historia jednej fotografii

Wracał, ponieważ był w Złotoryi do 1945 r. Dzisiaj na Rynku nic specjalnego się nie dzieje, a jeszcze niedawno tętnił życiem, co udowadnia zamieszczona fotografia. Kiedy została wykonana, o co chodzi? Czy to już Rynek, czy jeszcze Plac Wolności? A może ktoś siebie rozpoznaje po jednej lub drugiej stronie „lady”? Przy okazji prosimy przyjrzeć się wieży kościoła Mariackiego – także tam zachodzą ciekawe przemiany.

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

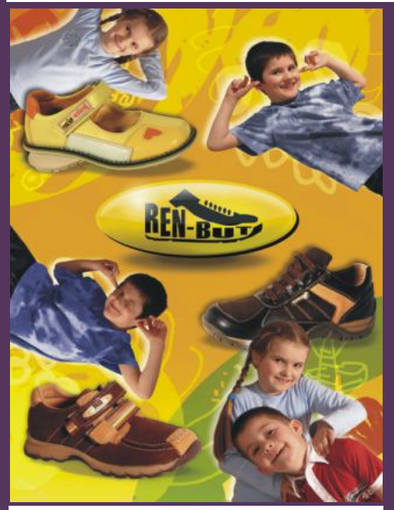

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023